Numer 1. Rok IV. Kraków, dnia 10 października 1926.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY DWUTYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata: Do Nowego Roku 1 złoty 32 grosze; — do Ameryki pół dolara; — do Francji 7 franków; — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 25 groszy. Ogłoszenia zwykłe 15 groszy za jeden wiersz milimetrowy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, ul. św. Tomasza 32.**

DO CZYTELNIKÓW.

Po 12 latach przerwy „Rola“ znowu powraca do życia. Niestety, nie ze wszystkiemi Czytelnikami możemy powitać się na tem miejscu, gdyż wielu z naszych prawdziwych przyjaciół bądź poległo na polach bitew, bądź pomarło pod strzechą rodzinną. Cześć ich pamięci. Wielu jednak pozostało przy życiu i od tych przez 12 lat redaktor „Roli“ otrzymywał wezwania i zachętę do wznowienia ulubionego przez wielu pisma. Byli i tacy, którzy oświadczali gotowość materjalnego poparcia tego wydawnictwa. Niestety, redaktor biedny, jak mysz kościelna, nie mógł podjąć się sam ryzykownego bądź co bądź przedsięwzięcia, a chętnych do pomocy w ciężkich czasach powojennych było zamało I tak lata mijały, a „Rola“ nie wychodziła.

Dopiero przed kilku tygodniami jeden z ludzi młodych, a pełnych zapału, p. Feliks Kowalczyk, dawny współpracownik „Roli“ w czasach przedwojennych, postanowił wznowić wydawnictwo i postanowienie to niniejszem wprowadza w czyn. I oto macie przed sobą Kochani Czytelnicy pierwszy numer tej „Roli“, do której przez tyle lat tęskniliście. I gdy przerzucicie jej karty, przekonacie się, że jest ona taką samą, jaką była przed laty dwunastu i jaką, ciągłe ulepszając i udoskonalając, zamierzamy ją nadal utrzymać.

W myśl zasady, że zgoda buduje, niezgoda rujnuje, „Rola“ będzie pismem zupełnie bezpartyjnem, a celem jej będzie nieść pomiędzy współbraci pouczenie, rozrywkę godziwą, aby dać licznym Czytelnikom wytchnienie po ciężkiej pracy. Chcąc jak najbardziej urozmaicić nasze pismo, będziemy dawali w każdym numerze dwie powieści: pierwszą historyczną, aby czytelnikowi przypomnieć przeszłość naszej Ojczyzny; drugą podróżniczą, lub senzacyjną, ale o pełnej wartości literackiej, któraby wzbudziła zainteresowanie od początku do końca. Powieści te, o większych rozmiarach, będą drukowane przez kilka numerów z rzędu.

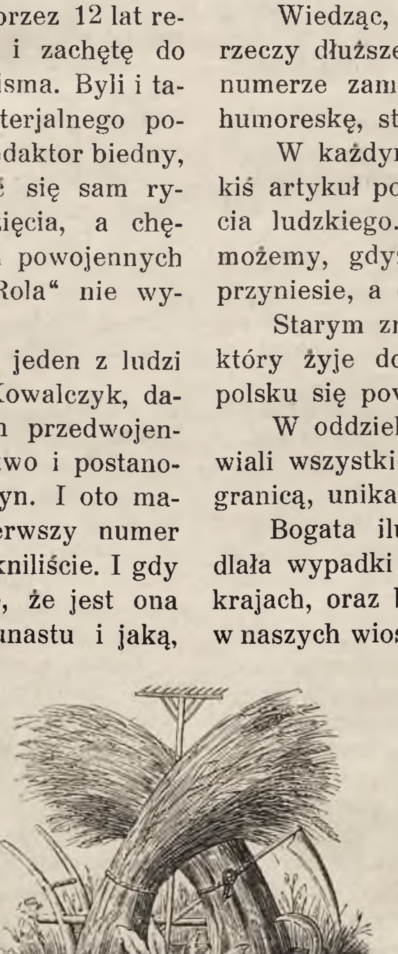
Wiedząc, że nie wszyscy Czytelnicy lubią czytać rzeczy dłuższe, że tak powiem, na raty, w każdym numerze zamieścimy krótszą powiastkę, bajkę lub humoreskę, stanowiącą dla siebie odrębną całość.

W każdym numerze będzie też zamieszczony jakiś artykuł poważny z najrozmaitszych dziedzin życia ludzkiego. Treści artykułów z góry podać nie możemy, gdyż będzie to zależało od tego, co życie przyniesie, a co omówić trzeba będzie.

Starym znajomym przypomni się Maciek Bzdura, który żyje dotychchczas i któremu, jak powiada, po polsku się powodzi, z nowymi zaznajomi się.

W oddzielnej rubryce będziemy notowali i omawiali wszystkie ważniejsze wydarzenia w kraju i zagranicą, unikając wszelkiego politykowania.

Bogata ilustrowana kronika będzie odzwierciedlała wypadki z życia codziennego w Polsce i innych krajach, oraz będzie podawała ciekawe wydarzenia w naszych wioskach i miasteczkach. — Powieści, opowiadania, bajki, humoreski będą przeplatane wierszykami poetów ludowych. Jako nowość zaprowadzamy rubrykę: „Rzeczy ciekawe“ i tu będziemy umieszczać wszystko, co Czytelnika może zainteresować, co będzie nietylko miłą rozrywką, ale nieraz i prawdziwem pouczeniem. — Całość numeru uzupełni bogaty dział szarad, rebusów i zagadek, które są najlepszą gimnastyką dla każdego umysłu.



Tajemnica na dworze królewskim.

Powieść historyczna.

Ród Jaksów należał do najzamożniejszych nad Odrą i Wartą. Pochodził on z Serbji, gdzie kilku z tego rodu kniaziami byli i osiedli tu, od rodzinnych chroniąc się waśni. Byli to wszyscy ludzie rycerskiego rzemiosła, a u siebie w domu tak panowali, jak kniaziowie Polańscy w Gnieźnie i Poznaniu, tylko że im ludzi na obronę kraju stawić musieli.

Dwaj bracia Chrober i Zbilut przyjęli razem z Mieszkiem Chrzest święty w Gnieźnie i przyjęli imiona Janka i Andruszka.

Obaj starzy już byli i obaj mieli po dwóch synów. Młodzież to była gorąca i butna, tęskniła za wojennemi wyprawami, nie rada spoczywać w domu.

Stary Jaksa Andruszkiem na Chrzcie św. nazwany, miał już dwóch synów dorosłych, którzy z królem Bolesławem Wielkim czyli Chrobrym do Czech i na Ruś walczyć chodzili. Starszy z nich po ojcu dostał imię Andruszka, młodszy zwał się Jurga.

Mając posiadłości niedaleko od granic, kędy często bywały napady, musieli się Jaksowie trzymać czujnie a obronnie.

Właśnie Bolesław był na Rusi z obydwoma braćmi, gdy stary Jaksa, który już dawno złożony był chorobą, zakończył życie. Gdy potem obaj synowie z owego sławnego Kijowa powrócili, gdzie razem z królem dość długo i wesoło się zabawiali, zastali dwór pusty, służbę tylko wierną, pilnującą dobra pańskiego i w skarbcu ogromne stosy dostatków. Pozbawieni oka ojcowskiego, poczęli życia swobodnie używać, nie żałując sobie niczego. Stary dworzec, niegdyś tak spokojny, brzmiał teraz muzyką i śpiewami, wyprawiano ciągłe uczty, goście się dniem i nocą zjeżdżali.

Jurga i Andruszka jeździli też czasem na dwór królewski z pokłonem; Bolesław ich po ojcowsku przyjmował, karmił, poił i o wyprawach wojennych rozmawiał, lecz o rozwiozłe życie strofować ich zaniedbywał.

Jurga, w Poznaniu bywając, ujrzał u boku królowej piękną Teodorę, córkę Sieciecha, ochmistrza królewskiego dworu. Oboje się sobie wzajemnie spodobali, jakby stworzeni byli dla siebie. Chciał się z nią żenić, lecz nie wiedząc czemu, odkładał to z dnia na dzień, aż gorsze nastały czasy.

Na starym dworcu Jaksów szło po staremu. Łowy, uczty ogromne odbywały się ciągle, aż wreszcie wyczerpał się skarb ojcowski i bieda Jaksom zazierać w oczy zaczęła.

W tym kłopocie przyszedł Andruszce i Jurdze w pomoc swemi radami Czech Gwidon, który po świecie włócząc się długo, zapoznał się z Jaksami i u nich służbę ochmistrza domu przyjął.

Gdy więc tak ciężkie nadeszły czasy, pomyśleli o tem Jaksowie, aby u stryja Janka szukać pomocy. Był to człek stary, ociężały; ale serce mu się ściskało, że ojcowizna szła na marne, że ziemię nawet rozszarpywano, lecz sił do powstrzymania bratanków nie miał.

Dnia pewnego w listopadzie, gdy się opowiadanie nasze zaczyna, Jurga i Andruszka z nieodstępnym Gwidonem i ludźmi właśnie z łowów do domu wrócili, obaj chmurni, bo i myśliwstwo im się już nie wiodło teraz. Zasiedli przy palącym się na kominie ogniu w wielkiej izbie i długo milczeli smutnie. Wreszcie młodszy Jurga odezwał się do brata:

— Co tobie, Andruszko?

— A tobie co? — spytał brat — jeszczem cię takim chmurnym nie widział.

— Bieda u nas...

— Oj bieda, wojnyby nam trzeba...

— Król ociężał, już mu się wojować odechciało. Lepiej mu w Poznaniu siedzieć, rycerstwo przy stołach podejmować.

Westchnęli obaj.

Gwidon, który wszedł był po cichu do izby i słuchał tej rozmowy, odezwał się nagle:

— Na biedę u nas ludzie sobie radzić umieją, gdy pokój trwa nadto długo.

Spojrzeli na niego ciekawie obaj bracia.

— Trudno rycerstwu dać mieczom rdzewieć. Niema nieprzyjaciela, trzeba polować na podróżnych...

Andruszka potrząsnął głową.

— U nas tego zwyczaju niema. Gość u nas wszelki zawsze bezpieczny.

— Swój to pewno — odparł Gwidon — ale pocóż się mają obcy po gościńcach włóczyć z wielkimi skarbami. Jakie mają prawo w cudzej ziemi handlować? U nas jeśli taki podróżny nie da z dobrej woli okupu, idzie do lochu, albo głowy nałożyć musi. A na czyjej ziemi kupiec zmarł, do tego mienie jego należy.

Bracia posępnie milczeli, a Gwidon, spozierając na nich z ukosa, mówił dalej:

— Tu nieraz dobrze obłowićby się można na tych, co do Poznania, do Gniezna z Grecji i z Rusi przeciągają. Spotkałem wozy i konie, na które aż ochota brała...

— U nas bo tego zwyczaju nie bywało — powtórzył Jurga.

— No jam słyszał — ciągnął dalej Gwidon — że Domarodowie w lasach swoich drogę zastępowali i obłowili się nie mało, a nikt im przecież marnego nie powiedział słowa... co wzięli to mieli...

Andruszka niechętnie coś zamruczał. Jurga wstał, wzdychając, i chodzić zaczął po izbie. Piękna Sieciechówna przyszła mu na myśl, nie było jej teraz gdzie wprowadzić i czem obdarzyć...

— Mnie już tak dokuczyło to głupie ubóstwo nasze — rzekł — że gdyby mi się jaki Grek nawinął, to nie ręczyłbym za siebie... Andruszka, jako dobry brat, takżeby mnie samego przy tej robocie nie zostawił. Co?

— Plugawa to rzecz, lepiej wojny czekać — rzekł starszy.

— Tak, na to czekać musimy — powtórzył Jurga — bo Grecy nie włóczą się po lasach, jak zwierzyna... Łatwiej dostać Turka, niż Greka.

Wtem odezwał się Gwidon ze śmiechem:

— Nie mówiłbym panom o czemś podobnem, gdybym już podobnego nie widział.

Jaksowie obaj zerwali się i przyskoczyli do niego. Myśliwska i wojenna żyłka w nich zadrgała...

— Wiem to napewne — rzekł Gwidon — a jego małe przebiegłe oczy zaiskrzyły się złowrogo. Wiem, że przez nasze lasy kupcy pojadą jeszcze przed Bożem Narodzeniem. Kupcy mają być bardzo znaczni, koni jucznych kilkanaście, a skarby wiozą wielkie.

— Toć pewnie bez wojska i straży nie będą — odezwał się Andruszka.

— Wiemy dobrze, co znaczy ich straż i najemne pachołki, na cudzych śmieciach. Na nich jakby prawdziwy rycerz dmuchnął, rozpierzchną się jak stado dzikich ptasząt.

Gdy bracia nic mu nie odpowiadali, on popatrzył na nich z ukosa, i wreszcie rzekł trochę ciszej:

— Gdyby mi jeno ludzi dano, dałbym sobie sam radę z nimi.

— Zła to sprawa — wtrącił Jurga — dajmy temu pokój.

— A kiedyż to ta wasza złota zwierzyna ma przejeżdżać? — zapytał Andruszka niby od niechcenia.

Gwidonowi aż się oczy zaśmiały, był już prawie pewnym swego.

— Lada dzień! — zawołał — lada dzień. Trzebaby już od jutra zacząć na nich czatować.

— Zaczepić ich nie chciałbym — rzekł Jurga — ale radbym widzieć, jak taka karawana wygląda... jak się to wlecze... Zresztą okup ściągnąć na własnej ziemi... nic to strasznego... wszakże król także z miast opłatę bierze.

Gwidon spiesznie mówić zaczął.

— Staniemy u mostu, na ruczaju, co się zgniłym nazywa... Most to pański, nie dla nich przecież stawiany... czy to nie kosztuje?

— Może ma słuszność — mruknął Andruszka, na swoim moście przydybawszy, nie grzech upomnieć się o zapłatę.

Na tem skończyła się rozmowa dnia pierwszego. Nazajutrz Gwidon nie przestał namawiać braci, i wreszcie doprowadził do tego, że dnia trzeciego od stóp do głów uzbrojeni wyruszyli w las niby na łowy. Gościniec, którym kupcy jechać musieli, był o dwie mile od dworu.

W puszczy przechodził ów parów, którego głębinę przepływał ruczaj a nad nim dla grzęzawicy i topieliska most wystawiono, gdy raz wojsko przechodzić tamtędy miało.

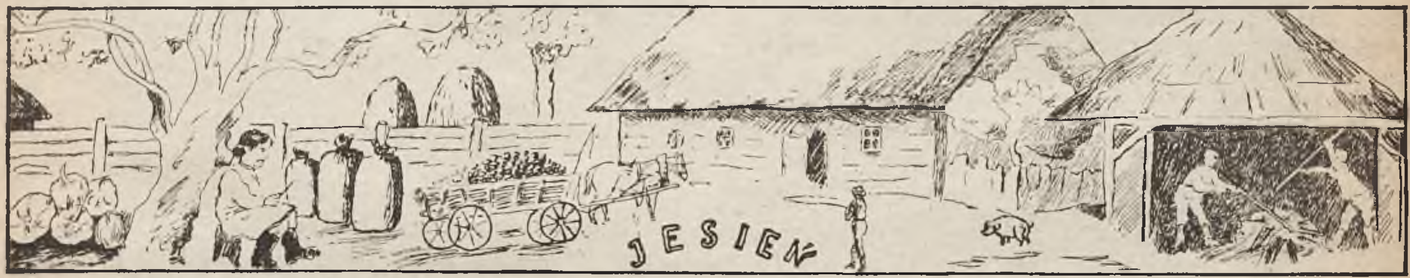
Miejsce u mostu było dogodne, bo z jednej strony świerki mogły ukryć ludzi w zasadce, dopókiby się cała gromada w dół nie spuściła.

Przyciągnąwszy tam pod noc Jaksowie, rozłożyli się pomiędzy świerkami. Ale smutnie zabierali się do tego, bo nie rycerska też była sprawa. Gwidon tylko znajdował się w swoim żywiole, śmiał się i biegał, z pod nawisłych śniegiem gałęzi spozierając na gościniec.

Podług jego obrachunku kupcy o innej dnia porze, jak ku wieczorowi, przejeżdżać nie mogli, gdyż nieopodal była osada, którą zwano Kołodzieje, gdzie każda taka podróżna gromada stawać była zwykła. Pierwszego jednak dnia nadzieja zawiodła czatujących, na gościńcu nikogo nie było. Drugiego dnia było tak samo, a mróz dojmował i wiatr smagał. Jaksowie już się strasznie niecierpliwić zaczęli, gdy wreszcie dnia trzeciego na gościńcu ukazali się jezdni, wiodąc konie stąpające wolno. W mgnieniu oka wszystko było w pogotowiu, Andruszka jakby istotnie nieprzyjaciela zobaczył, zaczął swych kilku ludzi, których zabrano ze sobą ustawiać, jakby do boju.

Orszak ów, niczego się nie domyślając, postępował zwolna ku mostowi. Czekano, aż się cały z góry spuści.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Jesienne prace gospodarskie.

Jesień w całej pełni a zima na karku. Czas też więc zastanowić się, jakie najpilniejsze czynności czekają rolnika w październiku. A więc gospodarz powinien przejrzeć narzędzia i maszyny rolnicze, jak: żniwiarki, siewniki i t. d. Oczyścić je, wysmarować i schować. Budynki obejrzeć, naprawić, załatać dziurawe okna. Ciągle pamiętać o zimowej orce i dokładać wszelkich starań, aby ją przed mrozami skończyć. Przejrzeć i oczyścić rowy, zwłaszcza w miejscach, któremi się przejeżdżało wozami. W sadzie smarować pnie i grubsze gałęzie mieszaniną wapna z krowieńcem. Zbierać kasztany i żołędzie. W końcu miesiąca opatrzyć piwnice przed mrozami. Pozbierać z pola łęty od ziemniaków i przykryć niemi kopce zasypawszy je przedtem na zimę. Sadzić drzewka owocowe i krzewy.

Gospodyni powinna w tym czasie zaopatrywać piwnicę na zimę, kwasić kapustę, ogórki, smarzyć powidła. Tuczyć drób, przeznaczony na sprzedaż, najlepiej kartoflami, warzonemi na parze z domieszką jęczmiennej mąki.

Ci, którzy posiadają pasieki, powinni starannie czyścić fartuchy, uzupełniać zapasy na zimę. Syrop powinien być bardzo gęsty; dodać doń piątą część miodu, żeby nie gęstniał i nie twardniał. Każdy ul potrzebuje od 32 do 39 funtów miodu, licząc od połowy października do połowy kwietnia. W razie uszczuplania pszczołom miodu, gdy w ulu pszczół znajduje się dużo, mogą one wszystkie z głodu poginąć.

O ile kto posiada prawo polowania, powinien pamiętać, że kończy się polowanie na kuropatwy; trzeba więc przygotować dla nich schronienie, aby w zimie nie pomarzły, zbierać żołędzie, buczynę i kasztany na paszę dla zwierzyny. Wolno polować na dziki, łosie, jelenie, sarny, zające, głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy, dropie, kwiczoły i ptactwo przelotne.

Ponieważ ziemia bez nawozu nie wiele warta, przeto trzeba o niej pomyśleć już w jesieni. Jeśli brak nam nawozów naturalnych, musimy postarać się o sztuczne. Wysiewać więc należy i zabronować pod oziminy w jesieni tomasynę, (200 do 300 kilogramów na mórg) kainit 200 do 300 kilogramów na mórg) z wiosną zaś superfosfat (od 100 do 200 kilogramów na mórg) saletrę (50 do 150 kilogramów na mórg w dwóch dawkach). 40% sól potasową (100 do 150 kilogramów na mórg) wreszcie na glebach wilgotnych przeważnie wapno gaszone raz na kilka lat w ilości od 5 do 15 cetnarów metrycznych na mórg, zależnie od rodzaju gleby.

Na łąki i pastwiska nawozy sztuczne nadają się znakomicie i dają ogromne korzyści w bujniejszym poroście traw i zbiorach siana, należy tylko przedtem łąki i pastwiska dobrze bronować, potem uskuteczniać wysiew nawozów, a następnie te nawozy znów zabronować.



Wiadomości z księżyca.

Co noc, a czasem i w dzień widzimy naszego towarzysza, który przesuwa się ze wschodu na zachód raz jako tarcza świetlista, to znów jako rożek to w jedną to w drugą stronę zwrócony. Księżyc, ten odwieczny świadek wszystkiego, co się działo na ziemi, a więc wszystkich walk ludzkich i zdarzeń, których nawet najściślejsza historja nie zanotowała, choć jest nam tak dobrze widoczny, a przecież pozostaje tajemniczym, jak był przed lat setkami.

Otóż widzimy księżyc jako tarczę okrągłą, lecz wiedzieć nam trzeba, że nie jest on tarczą, ale kulą i to kulą nie gładką, lecz ma na swej powierzchni szereg gór, dolin, kraterów, których cienie są nam dobrze widoczne na jego jasnej powierzchni. Gdyby księżyc miał światło własne, to cieni tychby nie było, ale księżyc ma tylko światło pożyczane, czyli od niego odbija się światło słoneczne.

Wprawdzie księżyc obraca się koło swej osi tak, jak ziemia, ale my nigdy nie możemy go widzieć ze wszystkich stron, bo już tak się dzieje, że tylko jedna strona bywa do nas zwrócona.

Jakiego też doznalibyśmy wrażenia, gdybyśmy się przypadkowo znaleźli na księżycu? Niema obawy względnie nadziei, abyśmy się tam dostać mogli, bo i jak? Samolotem nie, bo samolot może szybować tylko tam, gdzie jest powietrze. A przecież wiemy, że wysoko w górze powietrze jest tak rzadkie, że nietylko samolot, ale nawet ptak w niem nie utrzymałby się, a jeszcze wyżej powietrza zupełnie brak. Niema też powietrza na samym księżycu, ani w jego pobliżu. Dlatego też przedostanie się z ziemi na księżyc, jak również pobyt na nim są niemożliwe.

Ale gdybyśmy tak jakimś cudownym sposobem zdołali się na księżyc wydostać, i gdybyśmy potrafili zabrać ze sobą taką ilość powietrza, którakby nam wystarczyła do życia, to i tak żyćbyśmy na księżycu nie mogli, bo alboby olbrzymi upał uskwarzył nas w niedługim czasie, albo niebywały u nas na ziemi mróz zwarzył w przeciągu kilku minut. Bo temperatura przechodzi tam z jednej ostateczności w drugą. Przez 14 dni trwa tam nieprzerwany dzień a temsamem ogromny upał, to znów przez 14 dni długa noc i ciężka zima. Gdy księżyc jest oświetlony przez słońce to jest dzień - lato, gdy zaś księżyc się odwróci od słońca, wówczas następuje noc - zima.

Widzimy z tego, że na księżyc niełatwo się dostać, a jeszcze trudniej tam przebywać.

Ale gdybyśmy tak choć na chwilę stanęli na tarczy księżycowej i rzucili okiem ku górze. Zobaczylibyśmy nad sobą tajemniczą przestrzeń czarną, jak noc, bo nie zabarwiają jej tam na niebiesko warstwy powietrza tak, jak na ziemi, a na tem tle ujrzelibyśmy naszą ziemię rodzicielkę jako olbrzymią tarczę świetlistą, pięćdziesiąt razy większą od tarczy księżycowej, bo ziemia jest 50 razy większa od księżyca. A równocześnie z świetlistą ziemią widzielibyśmy nietylko słońce, ale całe miljardy gwiazd, jakie tu z ziemi tylko w najpogodniejsze noce dojrzeć możemy.

Można przypuszczać, że cudnyby to był widok, cóż kiedy nikt tam z nas nigdy za życia nie będzie i dziwów tamtejszych nie zobaczy.

Skądże jednak ludzie wiedzą, jak tam jest na księżycu. Nic to trudnego, bo księżyc nie jest znów tak bardzo od nas oddalony, a uczeni astronomowie mają doskonałe szkła powiększające, zapomocą których mogą dokładnie badać, co dzieje się na księżycu. Astronomowie ci stwierdzili więc, że księżyc ma taki sam skład jak ziemia, że niegdyś posiadał rzeki i morza, które z czasem przestały istnieć a dziś pozostały po nich tylko puste łożyska i koryta. Z powodu braku powietrza i wilgoci nie może tam być żadnej roślinności, ani zwierząt, a tem bardziej ludzi. Ale nietylko astronomowie mogą badać tarczę księżyca, lecz możemy to czynić i my w czasie zaćmienia księżyca. Wtedy cień ziemi pada na jego tarczę, wobec czego plama księżyca nas nie razi i nie przeszkadza badać jego powierzchni.

Wprawdzie naiwni ludzie twierdzą, że na księżycu gra ustawicznie dwóch skrzypków, ale nie są to skrzypkowie, lecz cienie, jakie rzucają góry tamtejsze.

Ale choć za życia nie zbadamy tajemnic księżycowych, to może poznamy je po śmierci, choćby dlatego, że Pan Bóg stworzył świat nietylko dla siebie, ale i dla swych stworzeń i niechybnie poznać im wszystkie szczegóły wszechświata pozwoli.

Strofy lirnika.

Na bozdrożu.

Gdzie stąpić nogą i gdzie zrócić oczy,
Wszędzie, choć kraj nasz tak chlebny, uroczy,
Słyszeć się dają płaczliwe biadania
I narzekania.

Mało już kogo wśród rodaków rzeszy
Wolność Ojczyzny odzyskana cieszy,
Choć nie tak dawno oddać za nią chcieli
Wszystko, co mieli...

Skargi i skargi, słuszne, czy niesłuszne,
Zawodzim w kółko jak widma bezduszne,
Miast prężyć mięśnie i w zwartym zespole
Kuć życia dolę!

Lecz chęć do pracy, któraby nam dała
Wielkość i siłę, gdzieś się zapodziała,
Wzrosło natomiast na naszą zagubę
Lenistwo lube.

I święci triumf obskurna prywata,
Brat pozbył czucia na niedolę brata;
Każdy jak ślimak rad wciska się w ciasny
Interes własny.

Toż dziś, gdy zamiast skojarzonej woli,
Uwieść się dalim kłótliwej swawoli,
Zadowolenia nie staje nikomu
W ojczystym domu.

O, nie w jałowej skardze i w sarkaniu,
Nie w samolubstwie i nie w próżnowaniu,
Lecz w twórczej pracy przy wzajemnej zgodzie
Byt twój, narodzie!

Ferdynand Kuraś.

Napad dzikich zwierząt na karawanę.



W gorących krajach niema takich dróg jak u nas, ani też kolei żelaznych. Chcąc przewieźć towary z jednej okolicy w inną, wyruszają karawany, które często, jak to widzimy na naszym obrazku, stają się łupem dzikich zwierząt.



Maciek Bzdura gada:

Pewnikiem niejednemu się zdawało, ze ze mnie po tej strasecnej wojnie ani kostecki nie zostało. Dwanaście roków to nie bagatela i niejednego przez ten czas za plebańskie podwórko wywieźli. Ale mnie i wojna nic nie zrobiła i te dwanaście roków jakosik minęły i jestem sobie dalej taki Maciek, jaki byłem przed wojną. Bo juz tak jest na świecie, ze jak się raz dobrze Maćka napcha, to on zawse Maćkiem pozostanie. I ja jako byłem Maćkiem, tak jestem nim i zawse nim pozostanę. Zeniaty to się dość prędko ździra, bo albo mu baba cuprynę nadweręzy, albo dzieciska wąsiska podskubią, ale kawaler pozostaje zawsze jednaki, choćby mu półtory kopy lat było. A ze ja jestem ciągle kawalerem, to się też nic do dziś dnia nie zmieniłem.

Choć podcas wojny to mi się nieraz zdawało, ze i mnie się trzeba będzie zmienić, bo albo mi kula łepetę urwie, albo rękę, albo nogę, albo co innego, i potem trza będzie bez jakiego potrzebnego kawałka ciała po świecie chodzić. Ale Pon Jezus strzyg i jakoś się bez nadwerężenia zadnej cąstecki ciała obesło. A było się tez na tej wojnie cemu napatrzyć, ale o tem kiedy indziej wam opowiem.

Dziś po dwunastu latach chciałem się ze staremi znajomemi powitać i o moje dziewuski zapytać, z któremi przed wojną do siebieśmy oko robili. Pewnie po dziś dzień mają po kilka pędraków. Bo nie wiem, cy duzo było takich mądrych, jak Kaśka Myrdalonka, niby ta, cośmy się to mieli ku sobie i z którąśmy się o mało nie pobrali. Zeby nie wojna, to kto wie, do cegoby było dosło. Ale jak się zacęła wojna i do nasej wsi zacęli przyizdzać to Niemcy, to Węgry, to Moskale, to i Kaśce zebrało się na rozmaitość i co dzień prawie insego wolała. I jakoś w tem wszyćkiem Pan Bóg jej błogosławił, bo co rok przybywał jej w chałpie jakiś mały mikrus i było wesoło. Ale tak się jakosik dziwnie składało, ze pirsego roku urodził się jej mały Niemiec, na drugi rok jesce mniejsy Moskal, a na trzeci pepicek Czech. Jagem po trzech latach przysed na urlop, tom myślał, ze w Kaścynej chałpie, jak tak dalej pójdzie, zrobi się cała Liga Narodów. Wziąłem więc powroza, złoiłem siedzenie Kaśce i od tego casu, kaput, nic juz nie przybyło.

Myślałem, ze za to bicie Kaśka się na mnie rozeźli, ale gdzie tam! Powiadała ino: „Nie sierdź się Maciuś, nie, bo ja to tylko z wielkiego umiłowania dla ciebie robiła. Myślę se: Biedacysko tam się na wojnie z Moskalami uzyra, a ja tu w chałpie mam po próżnicy siedzieć? Grontu mu nie przykupię, bo ni mam za co, chałpy nowej nie wystawię, bo nie mam grajcarów, niechze więc biedacysko ma choć to gotowe, na co mnie stać. I zabiegałam, com mogła, abyś ino do gołych ścian nie przysed! A ze ci trzej bracia do siebie niepodobni, to cóz ja temu winna. Przecie ci dobrze wiadomo, ze wojna, to wojna i nigdy długo zołmirzy na jednem miejscu nie trzyma“.

Com miał pedzieć na takie gadanie! Wiadomo przecie, ze baba to tak zawse kota do góry ogonem odwróci i taką dla siebie słusność wyrobi, ze często zamiast ją nawalić, to cłek ją jesce w gębę pocałuje. Nie odezwałem się na takie gadanie nic, bom sobie pomyślał, ze Kaśka jesce na mnie z pyskiem wsiędzie, zem i ja jakich pędraków do chałpy nie przyprowadził. A byłoby gorzej, bo przecie wiadomo, ze na wojnie ino się ludzi zabija, a nie rodzi.

Ale i Kaśkę za jej pracowitość Pon Jezus pokarał. Jesce się dobrze wojna nie skońcyła, a jej wszyćkie chłopaki po jednemu wywandrowali za plebańską oborę i odtąd Kaśka znowu jest se panienką, jaką była przed wojną. Powiadała mi potem, ze próbowała odrobić to, co jej Pan Bóg zabrał, ale ze swojemi nie sło jej tak, jak z obcemi, bo to u nas naród mądry i na byle jaką gębę nie popatrzy.

Jagem wrócił z wojny, powiada Kaśka do mnie:

— No Maciuś, to się teraz pobierzewa!

A ja jej na to:

— Cłek się na tyle bezeceństwa na tej wojnie napatrzył, ze teraz se musę odpocąć i ani mi się śni brać cię do swojej chałupy.

Tagem gadał, a myślałem sobie, ze teraz Polska szeroka i długa i dziewuch w niej bezliku, to moze i jaka śwarniejsa od Kaśki się trafi. I tagem cekał i cekam, bo wiem, ze baba nie zając, to nie ucieknie i jak człowieka ma niescęście popaść, to go nie minie. I dobrzem zrobił, bo jak teraz będzie „Rola“, to i o babę nie będzie trudno. A mnie tam wszyćko jedno, cy ona będzie od Chrzanowa, cy od Makowa, cy od Łowica, cy Warsiawy, byle ino miała dwie nogi i wszyćko bez cego baba nie byłaby babą.

No i cekam, ale która sobie na mnie łoskome robi, to jej musę z góry powiedzieć, ze ino z taką się ozenię, która na „Rolę“ przyśle grajcary (1 zł. 32 gr.), bo ja głupiej baby nie chcę mieć w swojej chałpie. No i musi to być bezdzietna panienka.



W jesienny wieczór.

Jesienny wicher miota liść
Wcześnie zapada nocy mrok...
Dokąd po pracy masz dziś iść
I na co wieczór zwrócić wzrok?

Czy tam, gdzie ludzi gwarny tłum
W rozrywkach trawi drogi czas,
Czy tam gdzie pustych rozmów szum,
Ogłupia, zamiast uczyć nas?

Czyliż tam może patrzeć masz,
I swój niewinny zwracać wzrok,
Na tę wyblakłą ludzką twarz
Którą pijaństwa objął mrok?

O nie, przenigdy, bracie mój!
Przyjacielowi twemu wierz:
Skończywszy pracy twardy znój,
W strudzoną rękę książkę bierz

I ucz się z książki w cnocie żyć,
Żyć dobrze, drogi bracie mój,
By prawym synem Polski być,
Bo obowiązek jest to twój!

Antoni St Bassara.

Podróż naokoło świata.

ROZDZIAŁ I.

Pan Fogg.

W roku 1872, dom noszący nr. 7 przy ulicy Sarillerow, zamieszkany był przez pana Filipa Fogga, osobę bardzo tajemniczą i oryginalną, wzbudzającą ogólną ciekawość.

Pan Filip Fogg odziedziczył majętność po znanym mówcy angielskim, który, jako krewny Fogga zrozumiał, że oddać pieniądze w ręce takiego człowieka, to znaczy, pomnożyć swój dobytek.

Filip Fogg był to bardzo przystojny i elegancki człowiek. Nie należał do instytucyj, do których zapisywali się wszyscy dla mody i sławy, był tylko członkiem Klubu „Reform“. Oto wszystko.

W jaki sposób człowiek nikomu nieznany dostał się do tego klubu? Otrzymał on wyborną rekomendację od Braci Baring, u których miał kredyt otwarty i to wystarczyło do przyjęcia. Fogg nie był rozrzutnym, ale też nie był skąpym, gdyż wszędzie, gdy komu brakło chleba, on pomógł najpierwszy i to zwykle w tajemnicy i bez rozgłosu. Sam był zawsze zamknięty w sobie i milczący. Mówił mało, ale tylko ile było potrzeba i uważał zbyteczną paplaninę za brak wychowania. Życie swoje urządził w ten sposób, że wszystko miało swój czas przeznaczony. Zawsze równomierny, zawsze ten sam, nie okazywał nigdy ani smutku, ani wielkiej radości.

Czy podróżował kiedy? To było prawdopodobnem, gdyż nikt tak doskonale nie znał wszystkich krajów, jak on. Gdy rozmawiano w klubie o zaginionych podróżnych, Fogg dowodził zawsze, gdzie mogą być bezpieczni i żywi i gdzie mogliby stracić życie, lub też nie przenieść klimatu.

Nie widziano o nim, skąd przybył, czy tu się urodził, czy miał kogo z rodziny. Wiedziano tylko, że odkąd zaczął bywać w świecie, t. j. w Klubie „Reform“, nie wyjeżdżał nigdy z Londynu. Poza zwykłemi zajęciami czytał dużo i grał w karty. Grając, wygrywał często i natychmiast oddawał wygraną sumę biedakom. Grał nie po to, żeby wygrać, ale po to, żeby się rozerwać. Gra była dla niego rodzajem walki, walki o pokonanie trudności, ale toczyła się ona bez uniesień, bez wzruszeń i dla tego nie wpływała wcale na jego charakter i usposobienia.

Samotnik, życie swe spędzał ze swym służącym, który mu najzupełniej wystarczał. Śniadanie, obiad i kolację jadał zwykle w klubie, do domu wracał, aby się przespać i to o godzinie i minucie wyznaczonej.

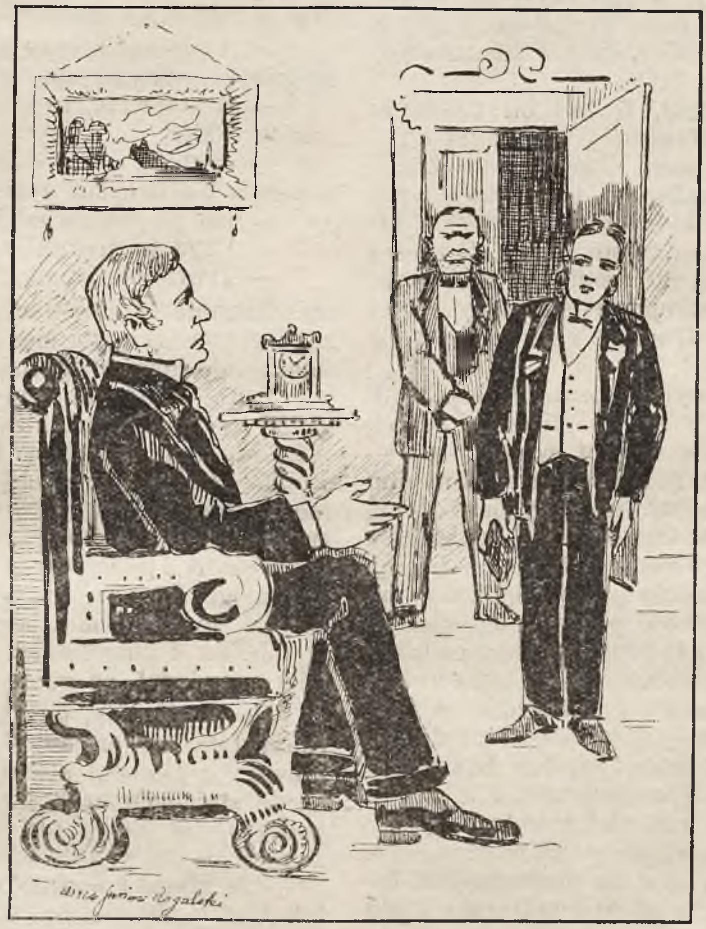
Od służącego wymagał stawiania się przed sobą o oznaczonej godzinie i minucie.

Tego dnia właśnie, od którego zaczynamy opowiadanie, Filip Fogg oddalał swego służącego Jana Forstera za to, że przyniósł mu wodę do mycia się chłodniejszą, aniżeli zażądał. Oburzony na tę nieuwagę, zgodził innego służącego, który miał się u niego zjawić między godziną jedenastą a wpół do dwunastej.

W chwili obecnej pan domu siedział wyprostowany na fotelu z rękoma o kolana opartemi i patrzał na wskazówki dużego wiszącego zegara. O wpół do dwunastej Filip Fogg zwykle wychodził do klubu.

Tymczasem wraz z uderzeniem zegara zapukał ktoś do pokoju i po pozwoleniu wejścia, ukazał się Jan Forster, oznajmując:

— Nowy służący.



Do pokoju wszedł nowy służący.

Jednocześnie wszedł człowiek lat około trzydziestu i ukłonił się.

— Jesteś Francuzem i nazywasz się Janem?

— Tak, proszę pana — odpowiedział nowoprzybyły, Jan Passepartout, to przydomek, dany mi podczas służby. Jestem uczciwym chłopcem, ale chcąc być szczerym, muszę wyznać, że nie odznaczałem się stałością, wciąż bowiem zmieniałem zawody. Byłem śpiewakiem, stajennym w cyrku, tańczyłem na sznurze, byłem nauczycielem gimnastyki, sierżantem u strażaków. Muszę się pochwalić, że zagasiłem pożar w kilku wypadkach. Od pięciu lat opuściłem Paryż i postanowiłem zostać służącym w Anglji. Tutaj będę mógł może założyć ognisko rodzinne. Znalazłszy się bez zajęcia, posłyszałem, że pan Filip Fogg, najszlachetniejszy i najrozumniejszy człowiek w Anglji, poszukuje służącego, przyszedłem więc tutaj przedstawić się szanownemu panu, żyć w spokoju i zapomnieć o swym przydomku.

— Czy znane ci są moje warunki?

— Tak, panie.

— Dobrze. Która u ciebie godzina?

— Jedenasta i dwadzieścia dwie minuty, odpowiedział Passepartout, wyciągając z kieszeni kamizelki ogromny srebrny zegarek.

— Opóźnia się, — rzekł pan Fogg.

— Ależ to niemożliwe!

— Opóźnia się o cztery minuty. Nie szkodzi. A więc od tej chwili, od jedenastej, minut dwadzieścia dziewięć rano, od środy 2 października 1872 roku, jesteś moim służącym.

To powiedziawszy, Filip Fogg włożył lewą ręką kapelusz i wyszedł, nie nadmieniając więcej jednego wyrazu.

Passepartout usłyszał zamykającą się po raz pierwszy bramę, gdy odchodził jego pan, potem po raz drugi przy odejściu dawnego służącego.

Passepartout sam więc pozostał.

ROZDZIAŁ II.

Zadowolenie służącego.

Po wyjściu pana Fogga, Passepartout rzekł do siebie:

— Doprawdy natrafiłem na człowieka solidnego, na figurę z wosku, której brak tylko mowy!

W kilka już minut nowy służący ocenił doskonale swego pana.

Domyślił się, że pan jego musi mieć lat ze czterdzieści, uznał, że figurę ma śliczną, postawę szlachetną, że blond włosy jego i faworyty pielęgnowane są przez najlepszego fryzjera i że posiada spokój i godność w ruchach.

Spokojny, flegmatyczny, o oku czystem, nieruchomej powiece, był typem zimnokrwistego Anglika.

Jego przysłowiowa punktualność wzbudzała podziw wszystkich.

Co się tyczy Passepartout, to był on dzielnym chłopcem o miłej powierzchowności, łagodnym i posłusznym, posiadał głowę małą, okrągłą i kształtną. Pragnął on spokoju po burzliwych przejściach i podziesięciu latach służby, w których zamęt, goście, zabawy, wypełniały dni całe, a często i noce. Z wielką więc radością dowiedział się, że nielubiący ani zabaw, ani wyjazdów pan Fogg potrzebował służącego. Wyobrażał sobie, jak to tutaj odpocznie i do końca życia już pozostanie.

Pozostawszy sam, po wyjściu pana, Passepartout przebiegł cały dom od góry aż do piwnic. Podobał mu się ten dom czysty, o surowym wyglądzie, doskonale dla służby urządzony. Dom ten robił na nim wrażenie skorupy ślimaczej, ale skorupy oświetlonej i ogrzanej przez gaz, zaprowadzony we wszystkich pokojach. Znalazł też bez wielkiego trudu na drugim piętrze przeznaczony dla siebie pokój. Spodobał mu się bardzo. Zauważył w swoim pokoju notatnik, zawieszony przy zegarze. Był to program zajęć codziennych. Wypisana tam była godzina ósma rano, o której wstawał Filip Fogg, ósma i dwadzieścia trzy minuty herbata, woda do brody, dziewiąta trzydzieści siedm czesanie, ubranie o dziewiątej bez dwudziestu minut. Potem o wpół do dwunastej klub i t. d.

Po rozejrzeniu się po wszystkich kątach, Passepartout uśmiechnął się zadowolony, mówiąc:

— To mi się podoba! oto dla mnie służba! Pogodzimy się napewno. Człowiek to punktualny i spokojny i prawdziwie, jak mechanizm! To dobrze, służyć będę mechanizmowi!

ROZDZIAŁ III.

Kradzież w Banku.

Filip Fogg wyszedł z domu o godzinie jedenastej i pół i po zrobieniu pięciuset siedmdziesięciu sześciu kroków, stawiając lewą nogę przed prawą i tyleż razy nogę prawą przed lewą, przybył do klubu, obszernego budynku, którego koszt budowy wynosił trzy miljony.

Filip Fogg poszedł najpierw do jadalni, której dziesięć okien wychodziło na ogród zasypany pożółkłemi liśćmi drzew. Tutaj usiadł na zwykłem swem miejscu przed przygotowanem już nakryciem. O godzinie dwunastej, minut czterdzieści ośm wstał i skierował się do dużego salonu, ozdobionego malowidłami. Tutaj służący podał mu gazetę, którą Fogg przeciął dokładnie i otworzył. Czytanie to trwało do godziny trzeciej, minut czterdzieści pięć, a czytanie innego pisma trwało aż do obiadu.

O piątej minut czterdzieści przeszedł po obiedzie do drugiej sali, gdzie zabrał się do czytania „Porannej Kroniki". W pół godziny potem nadeszło kilku członków Klubu i zbliżyło się do kominka, gdzie palił się suty ogień.

Byli to, jak on, zaciekli gracze, mianowicie inżynier Andrzej Stuart, bankierzy Jan Sulliwan i Samuel Falentin, kapitaliści Tomasz Flanagan i Ralf Gotje — wszyscy bogaci i znakomici światowcy.

— A więc, Ralfie, — odezwał się Tomasz — jakże z tą historją kradzieży?

— Naturalnie, — odpowiedział zapytany, — że bank będzie musiał zapłacić.

— Sądzę, że nie — odpowiedział Andrzej — właśnie jestem pewny, że złapiemy złodzieja. Inspektorzy policji wyjechali do Ameryki i szukają po całej Europie, na wszystkich portach, wszędzie; trudno będzie temu panu zwiać z pieniądzmi.

— A czy natrafiono już na ślady, gdzie przebywa złodziej? — spytał inny z siedzących przy kominku?

— Ostatecznie, to nie jest złodziej, — rzekł poważnie Ralf.

— Jakto? nie złodziej, ten, co potrafił podjąć z banku pięćdziesiąt tysięcy funtów w banknotach?

— Nie — odpowiedział.

— Czyż to rzemieślnik?

— „Poranna Kronika" twierdzi, że to dżentelmen.

Ostatnie te słowa wypowiedział Filip Fogg, którego głowa wyłoniła się z pośród stosu gazet. I jednocześnie Fogg przywitał serdecznie swoich kolegów.

Fakt, o którym szeroko mówiono, zdarzył się przed trzema dniami, 29 września. Ogromna ta suma, o której teraz mówili w Klubie, skradziona była ze stolika kasjera z Angielskiego Banku. Bank ten tak mocno ufał publiczności, że największe sumy, złoto, srebro, bilety bankowe, wszystko leżało na stoliku otwarcie. Nie podejrzywano nikogo z przychodzących, aby mógł dopuścić się czynu karygodnego i wziąć coś, co do niego nie należało.

Jeden z długoletnich obserwatorów życia Anglików opowiadał, co następuje:

Pewnego dnia, gdy był w Banku, wziął do ręki rulon złota, zawierający siedm do ośmiu funtów. Przyjrzawszy się, podał swemu sąsiadowi, i tak po kolei, aż do stojących na końcu sali przechodził ów rulon, podczas gdy kasjer nie podniósł nawet głowy i nie zwrócił na tę wędrówkę złota uwagi.

Ale 29-go września rzecz miała się inaczej. Zwitek banknotów nie powrócił na stolik kasjera i kiedy zegar wybił godzinę piątą, bank postradał ogromną sumę.

W dniu tym pewien pan spacerował po sali tam i z powrotem i jego to posądzono o kradzież.

Wyznaczono agentom i inspektorom pięćdziesiąt tysięcy franków nagrody za złapanie złodzieja i żywiono niepłonną nadzieję, że zostanie on pewnego dnia schwytany.

Rozmowa między grającymi przerwała się podczas gry, lecz w przestankach powracano znów do tego tematu.

— Sądzę, — mówił jeden z nich, że złodziej napewno umknie, musi to być spryciarz nielada.

— Ależ niema ani jednego kraju, do którego mógłby umknąć — rzekł drugi.

— Skoro ziemia jest tak bezmierna, — zawyrokował Andrzej Stuart.

— Powiedzmy: była niegdyś, — odpowiedział pół głosem Filip Fogg.

— Jakto niegdyś? — spytał Andrzej Stuart.

— Naturalnie, że tak, — odrzekł Ralf. — Jestem zdania pana Fogga; ziemia zmniejszyła się o wiele, co widzimy z tego, że możemy ją objechać dziesięć razy prędzej niż dawniej, n. p. przed stu laty. Teraz można objechać świat naokoło w przeciągu trzech miesięcy.

— W ośmdziesiąt dni tylko — odparł Filip Fogg.

— Tak, ośmdziesiąt dni! — zawołał Andrzej Stuart — ale nie wliczając w to różnych przygód, wiatrów przeciwnych, burzy na morzu, etc.

— Owszem, wszystko to zostało przewidziane! — rzekł spokojnie Filip Fogg, kładąc kartę.

— Nawet, gdyby Indjanie napadli na podróżnych, popsuli szyny, mordowali jadących! — wykrzyknął Stuart.

— Tak, i w takim razie, — rzekł Filip Fogg, nie przerywając gry.

— Chciałbym bardzo przekonać się o tem...

— To zależy od pana. Jedźmy razem.

— Niech mnie niebo od tego chroni! — krzyknął Stuart, — ale założyłbym się o cztery tysiące funtów, że podróż w tych warunkach byłaby niemożliwą.

— Owszem, bardzo możliwa, — odpowiedział pan Filip Fogg.

— A więc odbądź pan tę podróż!

— Z największą chęcią.

— Kiedy?

— Natychmiast.

— Ależ to szaleństwo! — zawołał Andrzej Stuart.

— A więc tak, panie Fogg, zakładam się o cztery tysiące funtów! Mam dwadzieścia tysięcy funtów złożonych u braci Baring. Poświęcę je z przyjemnością..

— Dwadzieścia tysięcy funtów! — wykrzyknął Jan Suliwan. — Dwadzieścia tysięcy funtów, które może pan utracić w razie nieprzewidzianego opóźnienia!

— Nieprzewidziane wypadki nie istnieją! — rzekł spokojnie Filip Fogg.

— Ależ panie Fogg, ośmdziesiąt dni, to jest najkrótszy czas, wyznaczony na podróż naokoło świata! To minimum!

— Minimum dobrze przewidziane, starczy. Dobry Anglik nie żartuje nigdy, kiedy idzie o rzecz tak poważną, jak zakład, — rzekł Filip Fogg. — Stawiam dwadzieścia tysięcy funtów, jako zakład, że odbędę podróż naokoło świata w ośmdziesiąt dni, czyli w tysiąc dziewięćset dwadzieścia godzin. Czy zgadzacie się na to panowie?

— Zgadzamy się, — odrzekli wszyscy.

— Dobrze, — odpowiedział Fogg. — Kolej do Duwru odchodzi o godzinie 8-ej 49 minut. Wyjadę tym pociągiem.

— Jakto? już dziś wieczorem? — spytał Stuart.

— Tak, dziś jeszcze, a ponieważ dziś jest środa 2-go października, będę z powrotem w Londynie, w tym samym salonie Klubu w sobotę 21-go grudnia, o godzinie ósmej, minut czterdzieści dziewięć wieczorem. Oto czek na dwadzieścia tysięcy funtów, które należeć będą do panów, o ile nie przybędę na czas.

Napisano układ, podpisało go sześciu obecnych. Filip Fogg był wciąż spokojny.

Wybiła godzina siódma. Poradzono panu Fogg, aby porzucił karty i poszedł do domu przygotować się do wyjazdu.

— Jestem zawsze gotów do drogi, — odpowiedział i grał dalej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dwaj filozofowie.

(Humoreska).

Pan profesor Niedbalski i pan profesor Zapominalski byli szczerymi przyjaciółmi i nierozłączonymi towarzyszami, jakkolwiek z powierzchowności swej wcale do siebie nie podobni, bo pan profesor Niedbalski był wysoki i cienki jak tyczka, a pan Zapominalski niski, okrągluchny jak baryłka, z twarzą jakoby księżyc w pełni.. Obaj przyjaciele codziennie wieczorem wychodzili na piwo, a w niedzielę i święta, gdy służyła pogoda, chodzili przeszło pół mili za miasto, aby tam w ogrodzie przy kufelku piwa karmić ducha uczonemi rozmowami.

Razu jednego, korzystając z wolnego czasu, wyszli w powszedni dzień za miasto, usiedli w pustej restauracji, a gdy się nagadali i napili, zwolna kroczyli do miasta. Po drodze pan Zapominalski wciąż poprawiał kapelusz, który mu jakoś nie chciał siedzieć na głowie, ale wciąż spadywał, zaś pan Niedbalski miał robotę kapelusz bezustannie podnosić w górę, bo mu aż na sam nos wlatywał, a gdy już byli u bramy miasta, zauważył pan Niedbalski zniecierpliwiony:

— Nie wiem, co to jest, ale mój kapelusz mi jakoś za wielki.

— A mój za mały — odrzekł pan Zapominalski — musieliśmy się pomylić i obce wziąść kapelusze.

— Najniezawodniej. Ale tak niepodobna nam chodzić, musimy się wrócić po nasze kapelusze.

— Masz rację, kolego.

I wrócili obaj, jakkolwiek znużeni i przeszli owe pół mili, aby tylko przyjść do swej własności. Przybywszy na miejsce, żalą się przed gospodarzem, że wskutek pomyłki obce zabrali kapelusze.

— Ależ tu nikogo więcej nie było, prócz panów — perswaduje im gospodarz — niezawodnie panowie pomienialiście swoje kapelusze.

I rzeczywiście pokazało się, że pan Niedbalski miał obszerny kapelusz pana Zapominalskiego, a pan Zapominalski mały kapelusz pana Niedbalskiego. Podziękowali gospodarzowi za światłe objaśnienie i poszli do domu. Gdy po raz wtóry przyszli do miasta i rozstawali się na ulicy, rzekli do siebie:

— Jak to dobrze, żeśmy przynajmniej tej drogi daremnie nie zrobili. Przyszliśmy do swych kapeluszy.

Innego dnia wieczorem znów poszli na piwo, a że się na deszcz zanosiło, zabrali ze sobą parasole. Gdy przy piwie umawiali się, jak starożytni Grecy wymawiali „E“, zaczął deszcz padać na dworze. Do domu szli pod parasolem, a obaj byli zamyśleni i milczeli. Wreszcie zauważył pan Niedbalski:

— Myślę i myślę i nie mogę sobie przypomnieć, a jednak pamiętam bardzo dobrze, że gdyśmy szli na piwo, niosłem coś pod pachą.

— Istotnie i ja sobie przypominam, że coś pod pachą trzymałem. Niezawodnie zostawiliśmy to w restauracji... Musimy się wrócić.

I wrócili się, ale nic nie znaleźli; uczciwy gospodarz zaręczał im, że nic nie zostawili. Zasiedli więc na nowo do piwa i przez cały czas nic nie mówili, tylko łamali sobie głowy, coby to być mogło, co tu dotąd przynieśli, a co tak dziwnie bez śladu zginęło.

Zakłopotani powrócili do domu. Gdy się już zbliżyli ku domowi, deszcz przestał padać, a pan Zapominalski pierwszy zamknął parasol i włożył pod pachę.

— Aha, wiem teraz! — zawołał z radością. — Oto parasole nasze mieliśmy poprzednio pod pachą! No dobrze tylko, że ich nie zgubiliśmy. Dobranoc!

— Prawda, prawda. Dobranoc!

Pocieszna przygoda pijaka.

Wczas rano wybrało się dwóch gospodarzy ze Świdrowic do Mikłuszowa. Przechodząc wedle starego cmentarza, gdzie stał od niedawna założony spichlerz gromadzki, zobaczyli coś sporego leżącego koło spichrza. Ciekawość ich zdjęła, coby to było, zeszli więc z drogi i poczęli przypatrywać się temu zbliska.

— Patrzcie-no, kumie, — zawołał jeden — toż to worek leży!

— I widzi mi się nie próżny — dodał drugi.

— Hej — prawi znowu pierwszy — a nuż to złodzieje dobrali się nam do spichrza!

— Dobrze powiadacie, może i złodzieje.

— Ale zobaczmy-no, czy to naprawdę nasze zboże w tym worku — prawi pierwszy i nachylając się, wyciąga rękę, aby worek obmacać.

Aliści zaledwo macnął, worek się cały, gdyby żywy, poruszył i coś w nim zamamrotało. Chłopiska narobiły gwałtu i dalej w nogi. Nieopodal stał dom wójta, do którego też wystraszeni wpadli i dali znać o całem zdarzeniu. Ten zaraz posłał po przysiężnych; przysiężni znowu, skoroć się dowiedzieli o co idzie, roztrąbili po całej wsi i niebawem cała gromada z wójtem na czele wyruszyła ku spichlerzowi.



Z setną palicą postąpił naprzód.

Dzień się już był zrobił na piękne i doskonale było widać, jak na prawdę pod spichrzem leżało spore worczysko i że było czemś wypakowane. Skoro się przybliżyli, worek znów się poruszył i znowu w nim zamamrotało. Gromada przestraszona stanęła opodal. Nikt jakoś nie śmiał przystąpić bliżej. Dopiero kowal, chłop okrutny jak dąb i największy zuch w całej gromadzie pierwszy się na to odważył. Z setną palicą w ręku postąpił naprzód. O parę kroków od worka zatrzymał się i nuże poszturkiwać go kijem. Co szturknie, to się worek poruszy, a każdym razem inaczej: raz przodem, drugi raz tyłem, to na lewo się przegibnie, to na prawo, a zawsze było słychać to samo mruczenie. Już też zanadto było tego kowalowi — więc splunął w garść, zaklął siarczyście i jakci nie wywinie palicą, jakci nie huknie po worku z całej siły, aż ci worek poderwał się na jaki łokieć od ziemi i zakrzyczało w nim ludzkim głosem: gwałtu! — Kowal choć wielki zuch a taki strach go chwycił za pięty i na dobry sążeń odsadził się w tył. Gromada zaś już, już co nie czmychnęła do domów. Wtem nadchodzi ksiądz proboszcz, co mu dali znać o tem i zakazał im się rozchodzić.

— Cóż znowu tak strasznego! — powiada — wstydźcie się, człowiek przy czystem symieniu niema się lękać niczego.

— Gwałtu! zawrzeszczało okrutnie we worku i jeszcze bardziej jęło się ciskać na wszystkie strony.

— Oo, słyszy dobrodziej — rzeknie kowal już nie na żarty przelękły. — Hej, a jak to gwałtuje! a jak się srodze miota! Dobrodzieju, dozwójcie nam zatopić go w stawie.

W worku nie ustawało na chwilę miotanie — zdawało się, że tuż tuż co nie puści, a takie było słychać sapanie, jakby naraz przynajmniej z dziesięć kowalskich miechów pracowało.

Widząc to ksiądz, śmiało przystąpił do worka i dalej go rozwiązywać. Co widąc kowal, po trzykroć się przeżegnał, splunął w garść i z kijem w ręku postawił się mocno na nogi, jakby się do bójki gotował. Inni dech w sobie zaparli i jeno czekali, co to będzie z tego.

Dobrze się umęczył ksiądz proboszcz, zanim rozwiązał. A musiał też i coś śmiesznego pomiarkować w worku, bo się wciąż uśmiechał do siebie. Skoro jeno rozwiązał, takci mój worek hyc do góry i stanął na równe nogi. Ksiądz proboszcz stał najbliżej i jeszcze się uśmiechał — kowal zawsze jeszcze mocno trzymał palicę, bo nie dowierzał, a gromada z drogi rozdziawiwszy gęby, patrzyła, chcąc wypatrzyć oczy.

I poczęło się z worka dobywać i pokazały się naprzód całe buty, a potem kożuch już nie nowy, aż ci dalej i twarz ludzka i nareszcie rudy łeb Wawrzka wartownika wysunął się z worka.

Dopieroż to cała gromada w śmiech aże się po całej wsi rozległo. Ksiądz proboszcz już się wtedy nie śmiał, jeno smutnie poglądał na Wawrzka, co teraz stał oniemiały i czerwony jak szczery ogień od wstydu, widząc się w takiem pośmiewisku ludzkiem.

A tu go otoczyli kołem i wołają: Wawrzek, ta dla Boga, co się z wami stało dziwnego?

Była tam i Wawrzkowa z dzieciakami, co się za nią przywlokły — ale widząc, co się stało z jej chłopem i że się tak z niego naśmiewają, rozpłakała się.

(Dokończenie w następnym numerze).



Jesienne strofy.

Nad szare pole ciągną mgły
I dym się z ognisk ściele,
Pierzchają lata cudne sny
A z niemi czarów wiele...

Dojrzały owoc leci z drzew:
Jabłuszka, gruszki, śliwy.
Milknie ptaszęcy wdzięczny śpiew,
Co płynął ponad niwy.

Ciągną żurawie kluczem w dal
W słoneczne ciepłe kraje,
W duszy się czuje jakiś żal,
Łza cicha w oku staje...

Bowiem niedługo przyjdzie już
W lodowym majestacie
Władczyni mrozów śniegów burz
W swej srebrno-białej szacie.

Robert Rydz.

Wiadomości polityczne.

W Polsce w ubiegłym tygodniu przyszło do przesilenia gabinetowego, to znaczy, że poprzedni rząd, na którego czele stał prof. Kazimierz Bartel ustąpił, a na jego miejsce Prezydent Rzeczypospolitej zamianował prezydentem ministrów marszałka Józefa Piłsudskiego. Dwukrotny upadek gabinetu p. Bartla spowodowało głosowanie w sejmie nad prowizorjum budżetowem. W pierwszem głosowaniu rząd wprawdzie zwyciężył, gdyż sejm uchwalił budżet w takiej wysokości, jak sobie tego rząd życzył. Ale zaraz potem sejm uchwalił wniosek nieufności dla dwóch ministrów, ministra spraw wewnętrznych Młodzianowskiego i min. oświaty Sujkowskiego. Zwykle w takich wypadkach ministrowie, którym sejm odmówił zaufania, ustępują, tymczasem obecnie stało się inaczej, gdyż cały gabinet podał się do dymisji. Prezydent Mościcki polecił Dr Bartlowi utworzyć nowy gabinet. Dr Bartel uczynił to, ale powołał ponownie do niego wszystkich poprzednich ministrów, nie wyłączając pp. Młodzianowskiego i Sujkowskisgo. To oburzyło sejm i senat, a wyrazem tego było zmniejszenie przez senat budżetu o 34 miljony. Zmniejszenie to sejm w drugiem głosowaniu zatwierdził. Wobec tego gabinet Dra Bartla powtórnie ustąpił, a Prez. Mościcki powierzył misję utworzenia nowego rządu marszałkowi Piłsudskiemu. W ten sposób w ubiegłą sobotę powstał nowy rząd, którego prezydentem i ministrem spraw wojskowych jest marszałek Piłsudski, jego zastępcą i min. oświaty Dr. Bartel. Z dawnego gabinetu zostali: A. Zaleski (min. spraw zagr.), W. Staniewicz (min. reform rolnych), E. Kwiatkowski (min. przemysłu), P. Rom cki (min. komunikacji) i St. Jurkiewicz (min. pracy). Jako nowi weszli: G. Czechowicz (min. skarbu), A. Meysztowicz (min. sprawiedliwości), K. Niezabytowski (min. rolnictwa), J. Moraczewski (min. robót publicznych).

Odroczenie sejmu i senatu. Na mocy dekretu Prezydenta Rzeczypospolitej sesja sejmu i senatu została zamknięta z dniem 2 października b. r.

Rada prawnicza. Jeszcze rząd Dra Bartla powołał do życia tak zwaną Radę prawniczą, złożoną z najwybitniejszych prawników polskich przeważnie z profesorów uniwersytetów, jak Stanisław Estreicher, Władysław Leopold Jaworski, Adam Krzyżanowski, F. Zoll i inni. Rada ta ma w sposób fachowy otoczyć opieką prace ustawodawcze państwa, nadając im taką formę prawną i wiążąc je z całokształtem życia prawnego w taki sposób, aby stąd wynikał jednolity ład prawny w państwie. Zadaniem Rady prawniczej będzie opiniowanie projektów ustawodawczych pod względem ich zgodności z zasadami obowiązującego ładu prawnego i z techniką ustawodawczą. Po powołaniu powyższej Rady b. minister sprawiedliwości p. Makowski dokonał jej otwarcia, a członkowie tejże Rady przystąpili zaraz do pracy.

Litwini nie mogą przeboleć, że Wilno, jak się to słusznie stało, należy do Polski. Ponieważ nikt nie zwraca na ich pretensje uwagi, przeto zwrócili się do Rosji i w ubiegłym tygodniu zawarli z nią sojusz. W traktacie litewsko-rosyjskim Rosja oświadczyła, że będzie popierać pretensje litewskie do Wilna. Oczywiście obietnica ta pozostanie tylko na papieże, bo gdyby Rosja mogła odebrać nam Wilno, to wzięłaby je sobie a nie oddawała Litwinom.

W Rosji prowadzone są obecnie bardzo żywe przygotowania wojskowe. Sztab generalny rosyjski uważa położenie tak na granicy zachodniej t. j. naszej, jak i na wschodniej t. j. chińskiej za bardzo poważne. Na naszej granicy gromadzą więc bolszewicy artylerję i lotnictwo, zaś na granicy chińskiej Budienny organizuje konnicę pod pozorem obawy przed wtargnięciem Chińczyków do Rosji. Oczywiście my wiemy najlepiej, że z naszej strony Rosja niczego obawiać się nie potrzebuje, gdyż u nas nikt o wojnie nie myśli. Można przypuszczać, że wiedzą o tem i bolszewicy, więc tembardziej niczem nie uzasadnione są jej przygotowania. Zdaje się jednak, że te alarmujące pogłoski mają cel inny, a mianowicie odwrócenie uwagi od tego, co się wewnątrz kraju dzieje. Opozycja, na której czele stoją Zinowiew, Trocki, Radek i inni podnosi coraz bardziej głowę, wskutek czego dotychczasowa większość jest niepewna. Gdyby tak przyszło pomiędzy tymi dwoma odłamami bolszewickiemi do zbrojnego starcia, wówczas i przeciwnicy bolszewików nie pozostaliby bezczynnymi. A tego się obawiają dzisiejsi rządcy Rosji. Chcą więc wojennemi alarmami odwrócić uwagę społeczeństwa od tego, co się wewnątrz państwa dzieje, w tym celu, aby zyskać na czasie i opozycję tem skuteczniej zdusić. W ubiegły piątek mimo zakazu przewódcy opozycji Trocki, Zinowiew, Piatakow, Smigla i Sapranow odbyli w jednej z fabryk tajną konferencję.

W Niemczech po wejściu Niemiec do Ligi Narodów dawna ich buta coraz bardziej zaczyna odżywać. Coraz częściej dają się tam slyszeć głosy, nawet ludzi odpowiedzialnych, że warunki, pod jakimi zawarto w roku 1918 pokój z Niemcami są nie do utrzymania. Żądają też Niemcy, narazie półgębkiem, zwrotu kolonij, a przebąkują też o zmianie swych granic wschodnich, czyli pragnęliby znowu zagarnięcia naszej ziemi, która tyle lat jęczała w ich niewoli.

Spotkanie Chamberlaina z Mussolinim. W ostatnich dniach września spotkali się we Włoszech w Livorno angielski minister spraw zagranicznych Chamberlain i dyktator włoski Mussolini i odbyli ze sobą poufne narady. Takie tajne konferencje zaciekawiają zawsze wszystkich dyplomatów, cóż dopiero powiedzieć, gdy narady te prowadzili tacy dwaj potentaci. To też dziennikarze, szczególniej francuscy poczęli kombinować, do czego zmierzały te poufne rozmowy. Najbardziej zaintrygowało to Francuzów. Snuli najrozmaitsze domysły i czynili nawet przypuszczenia, że konferencje te dotyczyły jakiegoś porozumienia skierowanego przeciw Francji. Chamberlain, wracając z Włoch, nie omieszkał zatrzymać się w Paryżu, aby uspokoić Francuzów. A nietylko to, ale gdy wrócił do Londynu oświadczył publicznie, że z Mussolinim rozmawiał o kwestjach dotyczących Anglji i Włoch. Zarówno w Livorno, jak i w Paryżu — zapewnia p. Chamberlain — miało spotkanie charakter szczerej i przyjacielskiej wymiany zdań. Tak mówił p. Chamberlain, ale trzeba pamiętać, że w polityce co innego się mówi, a co innego robi, to też Francuzi bacznie obserwują każdy krok swoich sprzymierzeńców.

W Chinach od dłuższego czasu trwa zacięta wojna domowa. Kto, kiedy i z kim się bije, trudno się nawet zorjentować, bo jednego dnia ten generał walczy z tamtym, aby zaraz na drugi dzień zwrócić się przeciw swojemu wczorajszemu przyjacielowi. Główną jednak przyczyną tych walk jest agitacja komunistyczna, jaka się tam przedarła z poza granicy rosyjskiej. Rosyjscy bolszewicy zdołali pozyskać dla siebie niektórych generałów i ci wystąpili przeciw rządowi prawowitemu i rozpoczęli z jego wojskami krwawą walkę. Wojna byłaby się niezawodnie już skończyła, gdyby nie niektorzy generałowie, którzy przechodzą to na tę, to na tamtą stronę. Obecnie wojska przeciwbolszewickie są górą, ale czy zdołają ostatecznie zwyciężyć, trudno przewidzieć.

KRONIKA.

Od Redakcji. Już z pierszego numeru »Roli« przekonają się Kochani Czytelnicy ci, którzy ją przed wojną czytali, że będzie ona taką, jaką była dawniej. W numerze dzisiejszym rozpoczynamy druk dwóch ciekawych powieści. Pierwsza z nich p. t. »Tajemnica dworu królewskiego« przenosi nas w czasy, kiedy to Bolesław Chrobry kładł podwaliny pod budowę silnej i potężnej Polski. Druga jest to powieść podróżnicza z tych, których kilka drukowaliśmy przed wojną. Sam tytuł »Podróż naokoło świata« wskazuje na jej treść. Oto niejaki Fogg zakłada się z swymi znajomymi, że w przeciągu 80 dni objedzie świat naokoło. Zakładający się przewidują, że Fogg napotka na swej drodze tyle przeszkód, że w oznaczonym terminie nie dopnie celu. Opis jego podróży i napotkanych przeszkód zainteresuje bezwątpienia wszystkich Czytelników.

Jak to już zaznaczyliśmy we wstępnym artykule, prócz dłuższych powieści, zamieszczać będziemy w każdym mumerze krótsze opowiadania, bajki, humoreski i t. p. tak, aby zebrany później rocznik dał Czytelnikowi obfity zbiór najrozmaitszych utworów.

Chcąc, aby »Rola« nietylko bawiła, ale i pouczała, zamieszczać będziemy prócz dłuższych artykułów naukowych cały szereg drobnych wiadomości w rubryce »Rzeczy ciekawe«. Aktualny dział wiadomości politycznych zaznajomi Czytelników z tem, co dzieje się tak w Polsce, jak i zagranicą na polu politycznem. Kronika wydarzeń w Polsce i na obczyźnie będzie w każdym numerze ilustrowana. Maćka Bzdury nie trzeba reklamować, gdyż dawni Czytelnicy dobrze go znają, nowi zaś poznają i zapewne pokochają.

»Rola« narazie do Nowego Roku będzie wychodziła co drugi tydzień; o ile spotka się z poparciem Czytelników, od Nowego Roku zostanie przemieniona na tygodnik.

Wiedząc, że dzisiaj nikt w pieniądze nie obfituje ustanowiliśmy prenumeratę niską (1 zł 32 gr.) do końca roku, prosimy jednak naszych Przyjaciół, aby prenumeratę przesyłali odwrotnie, abyśmy mogli nakład uregulować. Na zapas wielu numerów drukować nie możemy, bo to rzecz kosztowna. Kto więc będzie zwlekał z prenumeratą może łatwo później początkowych numerów nie otrzymać.

Następne numery otrzymają tylko ci, którzy uiszczą prenumeratę z góry.

Jaki będzie październik? Stan pogody w październiku według przepowiedni meteorologa Brieskorna przedstawiałby się następująco:

Przeważnie dnie słoneczne, ciepłe, dość suche. Miejscami pochmurno z częstemi zmianami temperatury. W połowie miesiąca, a w szczególności pod koniec trzeciej dekady zimno i nieprzyjemnie. W początkach miesiąca przeważnie pochmurno, poczem wypogodzi się. Do 20 października ciepło, sucho, noce jednak chłodne. 21 burza i zimno, do 25 zaś ciepło i miło. Od tego dnia aż do końca deszcz i śnieg.

Wcielenie rekrutów z poboru 1926 zostanie przeprowadzone dwukrotnie, a mianowicie: część zostanie wcieloną między 17 i 19 marca P927. Zaliczenie do nadkontyngentu będzie przeprowadzone w marcu 1927. Czas służby został ustanowiony dla poszczególnych rodzajów broni i służb w następujący sposób: a) dla piechoty, żandarmerji, taborów, oddziałów służby artyleryjskiej, dla służby intendantury i służby zdrowia 18 miesięcy bez przerwy, b) dla artylerji (z wyjątkiem artylerji konnej) 18 miesięcy, przyczem część szeregowców zostanie po upływie dwunastu miesięcy urlopowanych na przeciąg 6 miesięcy i po upływie urlopu powołana automatycznie celem dosłużenia brakujących 6 miesięcy, c) dla kawalerji i artylerji konnej 25 miesięcy, dla czołgów, lotnictwa, baonów saperów kolejowych, wojsk łączności i marynarki wojennej 24 miesiące, e) dla korpusu obrony pogranicza 24 miesiące. Poborowym, którzy nie stawią się w swoich oddziałach między 12 i 14 października, liczy się czas służby od dnia faktycznego stawienia się w oddziale. Spóźniający się będą nadto na zasadzie art. 115 ustawy o powszechnej obowiązkowej służbie wojskowej pociągani do odpowiedzialności sądowo-karnej przed sądami wojskowemi.

Wydobycie winy z żołądka. We Lwowie zdarzył się onegdaj zabawny wypadek. Oto jeszcze w połowie maja we wschodniej Małopolsce a szczególniej we Lwowie ukazała się istna powódź fałszywych banknotów. Policja lwowska długi czas śledziła za sprawcami owego fałszerstwa. Dopiero po dłuższych usiłowaniach udało jej się wpaść na trop fałszerzy i kilku z nich aresztować, a pomiędzy nimi niejakiego Pelza. W chwili gdy wprowadzono aresztowanego do biura policji, ten włożył nagle jakiś zwitek papieru do ust i połknął go. Komisarz policji zorjentował się natychmiast i w przekonaniu, że Pelz połknął fałszywy banknot, posłał po lekarza, by aresztowanemu przepłukał żołądek. Pelz stawiał silny opór, lecz lekarz niepostrzeżenie wsypał mu proszek na wywołanie wymiotów, który natychmiast okazał się skuteczny. Aresztant począł wymiotować i podczas tego wypluł z siebie ów połknięty papier. Jak się okazało, był to kawałek fałszywego banknotu, na którym były wypisane nazwiska wspólników fałszerza. Pelza osadzono w kryminale, a za jego wspólnikami śledzi policja, której sam aresztowany ułatwił pracę.

Zbrodnia zazdrosnego męża. W Zimnej Wólce pod Lwowem rozegrała się wstrząsająca tragedja małżeńska. Tamtejszy rolnik, nazwiskiem Grzegorz Zamoyski, podejrzywając swą żonę, Katarzynę o wiarołomstwo, zastrzelił ją. Przytrzymany Zamoyski oświadczył, że czynu dopuścił się w zdenerwowaniu, gdyż żona miała kochanka, a to go doprowadzało do największej pasji, I oto znowu nowy dowód, że lekkomyślność prowadzi do występku, a ten często powoduje zbrodnię.

Szkarlatyna w Warszawie. Liczba zasłabnięć na szkarlatynę w Warszawie wzmaga się coraz bardziej. Winę tu ponoszą jednak sami rodzice, którzy nie zachowują należytej ostrożności przed rozszerzeniem się choroby. Jak wiadomo, szkarlatyna jest bardzo zaraźliwa, dlatego też zdrowe dzieci nie powinny się stykać z chorymi. Tymczasem w Warszawie w wielu wypadkach chore dzieci posyłają nawet do szkoły.

Wybuch w bożnicy. Podczas tegorocznych świąt żydowskich w Warszawie podczas nabożeństwa odprawianego w jednej z bożnic żydowskich rozległ się nagle huk wśród gęsto nabitego tłumu. W bożnicy powstał nieopisany popłoch. Wkrótce okazało się, że do wnętrza bożnicy ktoś dla figlów rzucił niewielką i nieszkodliwą petardę. Gdy uczestnicy nabożeństwa ochłonęli z ogromnego przestrachu, rzucono się w pościg za żartownisiem ale śladu z niego już nie było.

Napady na posłów. W ubiegły piątek dokonano napadu na posła Zdziechowskiego, ktory twierdzi, że dokonali tego oficerowie. Jak opowiada p. Zdziechowski, kiedy już spał, do mieszkania jego ktoś zadzwonił, poczem weszło dwóch ludzi, którzy rzucili się na p. Zdziechowskiego i silnie go kolbami od rewolwerów pobili. Za nimi przybyło jeszcze sześciu innych mężczyzn, podobno także w mundurach wojskowych, którzy przy omdlałym p. Zdziechowskim zostawili bombę cuchnącą i razem z poprzednimi oddalili się. W sobotę znów jacyś nieznani ludzie napadli na posła Okonia i silnie go poturbowali. Napady na posłów należy bezwarunkowo potępić. Przecież mamy inne sposoby pozbycia się posła, który naszem zdaniem nie zasługuje na to, aby być posłem. Od tego są wybory. Jeżeli poseł działa wbrew naszych przekonań, to nie dawać przy wyborach na niego głosu, ale nigdy pałką swoich przekonań do głowy mu wtłaczać nie należy.

Sędzia w kryminale. W magistracie miasta Stolina poczęły ginąć w jakiś niewytłumaczony sposób pieniądze. Sekwestrator magistracki tak, jak mu to nakazywał obowiązek, zawiadomił o tem sąd. Starosta zarządził rewizję i stwierdzono brak 6.042 zł. Do odpowiedzialności pociągnięto burmistrza i co dziwniejsze tego sekwestratora, który o nadużyciach doniósł. Sędzia śledczy tak sprawę pogmatwał, że burmistrz dostał półtora, a sekwestrator rok więzienia. Skazani czuli się jednak niewinni, wnieśli więc apelację do sądu apelacyjnego w Wilnie, który ich też po szczegółowem rozpatrzeniu sprawy uwolnił. Dotąd wszystko w porządku, ale teraz zaczyna się rzecz ciekawsza. Było to w lutym b. r. Sekwestrator zaprzągł sobie koniki i jechał saniami przez miasto Stolin. Po drodze spotkał owego sędziego śledczego, który go do kryminału chciał wpakować. Sędzia niepomny krzywdy jaką chciał wyrządzić sekwestratorowi, kazał mu się odwieźć do domu. Sekwestrator jednak wezwania nie usłuchał i odpowiedział, że nie jest furmanem pana sędziego. Rozgniewany tem sędzia wezwał policjanta i kazał sekwestratora aresztować, dokonać przy nim rewizji osobistej i odprowadzić do więzienia, a sam usiadł na sanie sekwestratora i pojechał nimi do domu. Gdy na drugi dzień bezprawnie uwięzionego sekwestratora wypuszczono z więzienia, wniósł on skargę na czynności sędziego śledczego. Niedawno odbyła się rozprawa w Wilnie, a sąd tamtejszy skazał pana sędziego na miesiąc aresztu, a obecnie Sąd Najwyższy w Warszawie wyrok ten zatwierdził. Chwała Bogu, że chyba niema w Polsce drugiego sędziego, któryby tak śledztwa przeprowadzał, jak ów sędzia w Stolinie.

Bandyci grasują. We wsi Sygry na szosie, wiodącej od Sławatycz do Kodenia znaleziono osamotniały wóz z koniem. Gdy zaczęto poszukiwać wozniców, znaleziono dwóch kupców żydowskich zamordowanych. Kule rewolwerowe przebiły im czaszki od tyłu aż do czoła. Podejrzenie padło na dwóch dawnych mieszkańców wsi Sygry: Bazylego Swerbę i Stefana Drobczuka, którzy po paroletnim pobycie w Warszawie w czasie zbrodni zjawili się w rodzinnej wsi. Zarządzono za nimi pościg i aresztowano ich w Warszawie. Przyparci do muru przyznali się do zbrodni i zostali osadzeni w więzieniu.

Tragedja w Alpach siedmiogrodzkich. Przy końcu ubiegłego miesiąca wydarzyła się w Alpach siedmiogrodzkich wstrząsająca tragedja. W miejscowości Sosmezö żył zamożny właściciel dóbr, Stefan Hatzman, który zakochał się w córce miejscowej akuszerki, Ilce Loncsy, pannie bardzo urodziwej, lecz nie grzeszącej zbytnią cnotą. Z łask panny Ilki, sowicie opłacanych, korzystała liczna młodzież okoliczna. Mama, ciągnąc z takiego stanu obfite zyski, rzemiosło swe uprawiała tylko „dla oka", cały wolny czas poświęcając urządzaniu w swym domu hucznych zabaw, na które zjeżdżali się okoliczni reprezentanci „złotej młodzieży". Na jedno z takich przyjęć pewien ich stały uczestnik przyprowadził Hatzmana, przyczem znając jego niechęć do kobiet lekkiego prowadzenia się, zapewnił go, że pani Loncsy jest poważną matroną, która przyjęcia te urządza wyłącznie dla ułatwienia córce wyjścia zamąż. Hatzman uwierzył i choć niemile zdziwiło go bezceremonjalne zachowanie się gości przy stole panny Loncsy, zaczął jej składać częste wizyty, gdyż osoba panny Ilki zainteresowała go mocno. Matka, widząc, że „ryba chwyciła ponętę", na pewien czas zamknęła dom dla gości, przyjmując tylko Hatzmana. Rezultatem były zaręczyny Ilki z rozkochanym do szaleństwa Hatzmanem.



Pewnego dnia młody narzeczony otrzymał list anonimowy od jakiejś „życzliwej duszy", w którym mu brutalnie otworzono oczy na rzeczywistą wartość moralną jego bogdanki. W duszy zakochanego pod wpływem strasznego ciosu momentalnie zrodziło się rozpaczliwe postanowienie:

Nie dając po sobie poznać wrażenia ciosu, jaki go dotknął, młodzieniec udał się autem do swej przyszłej teściowej i zaprosił ją wraz z córką na przejażdżkę w góry. Zgodziły się chętnie i za chwilę auto mknęło drogą nad wąwozem rzeki Oitoz. Kobiety napominały Hatzmana, siedzącego przy kierownicy, by jechał wolno, ten jednak coraz bardziej przyspieszał bieg auta. Zaniepokojone, podniosły krzyk przerażenia i usiłowały wyskoczyć z wozu, było już jednak zapóźno: W pewnej chwili na zakręcie auto runęło z 200-metrowej wysokości wprost w wąwóz, rozbijając się wraz z pasażerami w kawałki.

Napad Litwinów na procesję. Przed kilku dniami w Kownie na procesję polska w katedrze św. Trójcy napadł tłum Litwinów. Podczas napadu około 500 osób zostało rannych. Kościół św. Trójcy przedstawia straszny widok. Szyby porozbijane, a podłodze i ścianach ślady krwi. Podobno w podziemiach katedry znaleziono ciała dwóch kobiet i jednego dziecka, zabitych podczas napadu. Polacy wnieśli zażalenie na napastników, aresztowano nawet kilku winnych, ale ich natychmiast wypuszczono, bo władze litewskie są bardzo zadowolone, jeżeli ktoś krzywdę Polakom robi.

Polskie groby wojenne w Czechach. Pisma czeskie donoszą, że w Czechach znajduje się 109.537 grobów wojennych, w tej liczbie 8.433 grobów polskich. Ponieważ w Czechach walk nie było, są to więc groby tych, którzy ranni na polach bitew pomarli w tamtejszych szpitalach, lub też groby naszych uchodźców wojennych.

Handel dziećmi na Węgrzech. Z Budapesztu, stolicy Węgier, donoszą, że w niektórych okolicach Węgier panuje tak straszna nędza, iż rodzice sprzedają na targach publicznych swoje dzieci. Nabywcami zazwyczaj są rolnicy, kupujący je, by mieć z nich z czasem pra-

cowników rolnych. Ceny ulegają wahaniom w związku z wiekiem, płcią oraz stanem zdrowia. Policja jest zupełnie bezsilna, i nie może przeciwdziałać tej nowej formie handlu żywym towarem, będącym wynikiem fatalnej sytuacji gospodarczej.

Wianek ślubny z cebuli. W tych dniach odbył się w Paryżu ślub niejakiej Małgorzaty Chariot z zawodu przekupki z handlarzem jarzyn. Wesele nowożeńców postanowili uczcić koledzy i koleżanki w odpowiedni sposób. W wigilję ślubu wyprawiono ucztę, która przeciągnęła się do białego rana i w godzinę, w której orszak weselny miał się udać do mera (burmistrza), celem zawarcia małżeństwa, okazało się, iż państwo młodzi nie są w stanie na własnych nogach zajść do urzędu. Ponieważ oszczędność jest zawsze wskazana, przeto wsadzono nowożeńców na wózki od jarzyn, wokoło nich usadowiły się druhny i drużbowie, a reszta uczestników wesela pchała i ciągnęła te oryginalne karoce ślubne. Panna młoda powinna mieć bukiet i wieniec na głowie.



Kwiaty jednak są za drogie i prędko więdną. Ustrojono ją więc w pięknie wyrośnięte cebule, a bukiety zrobiono z czerwonej rzodkwi. Burmistrz zdziwił się wprawdzie, ujrzawszy tak przystrojony orszak ślubny, ale ponieważ prawo nie zakazuje ozdób z cebuli, udzielił ślubu nowożeńcom, polecił jednak orszak weselny przytrzymać na policji, aż do czasu, gdy wyparuje z mózgów wino i wódka. To postanowienie burmistrza spotkało się z oburzeniem wszystkich przekupek i przekupniów. Zebrali się na naradę i postanowili raz na zawsze na wszystkich weselach zamiast kwiatów używać cebuli i rzodkwi, jako symbolu swego zawodu.

Nędza nauczycieli w Niemczech. Jak wiadomo, szkolnictwo ludowe w Niemczech jest nadzwyczaj rozwinięte, bo Niemcy na naukę nie szczędzą pieniędzy, wiedząc, że każdy grosz wyłożony na oświatę stokrotnie im się opłaci. To też ci nauczyciele, którzy mają posady, a jest ich 109.537, mają się wcale nieźle, o wiele lepiej, aniżeli u nas. Ale ciągle wychowankowie szkół nowi przybywają i dla tych zaczyna brakować miejsca. Oto jak obliczono 29.702 nauczycieli i nauczycielek, którzy ukończyli odpowiednie szkoły pozostaje bez pracy. Czy ją kiedy znajdą, niewiadomo, bo znowu nowi kończą szkoły, a przecież znów tylu nie wymrze, aby się dla wszystkich znalazło miejsce.

Księżna trafikantką. Po wojnie ludzie, nieraz bardzo bogaci przedtem, zubożeli tak, że imać się musieli często ciężkiej pracy. Przykładem tego jest księżna Alfreda Portla, która jeszcze w r. 1919 była właścicielką olbrzymich dóbr w Karyntji o obszarze 50 tysięcy morgów. Ze względów natury politycznej, księżna przesiedliła się na Węgry i sprzedała ten majątek za 8 miljonów koron. Dewaluacja uczy[illegible] cenę sprzedaży bezwartościowym zwitkiem papierów, a księżna, nie mając środków do życia, wystarała się o nadanie jej koncesji na sprzedaż wyrobów tytoniowych. Od kilku lat sprzedaje w swoim sklepie cygara i papierosy i według zdania palaczy, stanowiących jej klientelę, jest najuprzejszą i najmilszą sprzedawaczką w stolicy. Księżna nie narzeka na swój los, owszem teraz dopiero czuje się szczęśliwą, kiedy własną pracą może zarobić na swe utrzymanie.

Taniec w wodzie. Choć u nas chłodna już jesień, to przecież na południu panują jeszcze ciepła i mieszkańcy krain nadmorskich zażywają codziennie kąpieli. Aby kąpiel tę urozmaicić, urządzają sobie w wodzie ochocze tańce.



Taniec taki widzimy właśnie na naszym obrazku, umieszczonym powyżej.

Kaprys miljonerki. Przed kilku dniami zmarła w Ameryce miljonerka nazwiskiem Lucy Raoul. Zmarła pozostawiła po sobie majątek, wynoszący 18 miljonów dolarów, a generalnym spadkobiercą uczyniła swego siostrzeńca, pod warunkiem jednak, że ten dopiero wtedy oddziedziczy owe pieniądze, jeżeli pochowa swą ciotkę według rytuału staroegipskiego i zbuduje nad grobem jej piramidę. Cóż miał robić „biedny“ siostrzeniec. Rozumiał on dobrze dziwactwo ciotki, ale zapis był dość duży, aby go można było lekceważyć. Kazał więc ciotunię zabalsamować i zrobić z jej ciała mumję, trumnę polecił pomalować na staroegipskie ozdoby i natychmiast rozpoczął budowę piramidy. Pogrzeb odbędzie się dopiero za kilka dni, albowiem krawcy szyją specjalne szaty dla uczestników ceremonji składania zwłok, a murarze nie skończyli jeszcze budowy piramidy.

Dwa święta co tydzień. Gdzie i kiedy? — zapyta zapewne ciekawy Czytelnik. No, gdzieżby, jak nie w Ameryce Oto donoszą z Nowego Jorku, że tamtejszy miljarder, wytwórca samochodów, zaprowadził w swoich fabrykach tylko pięciodniowy tydzień pracy po osiem godzin dziennie. Robotnicy muszą jednak pracować tak, aby tyle zrobili w pięciu dniach, co przedtem wykonywali w ciągu całego tygodnia. I nie należy wątpić, że dokonają tego, bo w Ameryce ludzie umią pracować.

10 tysięcy miljonerów. Stany Zjednoczone Amerzki Północnej liczą obecnie około 10.000 miljonerów. Jeślibyśmy tych dolarowych miljonerów przemienili na złotowych, to otrzymalibyśmy 90.000 miljonerów. A gdybyśmy ich tak pobrali do wojska, to moglibyśmy utworzyć z nich 45 pułków wojska. Możemy sobie wyobrazić, jaka to olbrzymia suma miljon dolarów, a przecież niejeden taki miljoner może się nazwać biedakiem wobec właściciela fabryk samochodów, Henryka Forda, którego majątek szacują na tysiąc kilkaset miljonów dolarów. Inna rzecz, że niejeden człowiek, który nie posiada ani jednego dolara, może być szczęśliwszy od pana Forda.

RZECZY CIEKAWE.

Co będzie w 1927 roku?

Jak wiadomo, przyszłość przed ludźmi jest zakryta i jeden tylko Pan Bóg wie, co i kiedy dziać się będzie. Mimo to rozmaici mędrkowie starają się przyszłość przewidzieć, a że im się czasem przepowiednia sprawdzi, to nic dziwnego, bo przecież i w płot przypadkowo kulą trafić można. Obecnie jedna z księgarń wydała kalendarz kosmoroficzno-astronomiczny zawierający przepowiednie na r. 1927.

Odnośnie do Anglji powiada przepowiednia, że w 1927 r. kłopoty będą tam wzrastać. Nastąpią wypadki śmierci w sferach najwyższych i w rodzinie królewskiej. Pozatem wzrastać będzie ilość wypadków śmierci, z powodu wypadków automobilowych, katastrof, eksplozyj, porażeń słonecznych i samobójstw. W parlamencie będzie wiele niepokoju i wzburzenia, i nastąpią zacięte spory partyjne. Szczególnie żywo dysputować się będzie nad sprawami wojskowemi i kwestją uzbrojenia. W kołach poselskich będą również wypadki chorób i śmierci. W stosunkach do kolonij silne naprężenie. Anglja w tym roku straci przyjaciela.

Jak widać, rok 1927 dla Anglji nie przedstawia się różowo. Natomiast dla Francji rok ten ma być pomyślniejszy. Poprawi się tam nieco sytuacja finansowa, ale nie będzie to jeszcze zasadnicza i właściwa sanacja. Wpływy narodu francuskiego wzrosną.

Dla Włoch rok 1927 pozostaje pod szczęśliwą gwiazdą. Wszystko w tym kraju ukształtuje się dobrze. Włochy zyskają na wpływach i potędze. Specjalnie pomyślne okresy, to marzec i pierwsza połowa czerwca. Natomiast początek stycznia, druga połowa lutego i czerwiec, zaznaczą się krytycznymie.

Natomiast dla Austrji rok 1927 ma być bardzo smutny. Zaznaczy się on politycznemi niepomyślnemi posunięciami i kiepskiemi stosunkami gospodarczemi. Ustąpienie gabinetu i śmierć głowy państwa prawdopodobne. Jesienne miesiące najkrytyczniejsze.

Również Rosję sowiecką czekają ciężkie przejścia. Rok 1927 przyniesie ze sobą niezadowolenie i niepokoje. Zupełny upadek handlu i przemysłu, bezrobocie, nędzę, rozprężenie państwowe. Specjalnie krytycznym miesiącem jest luty.

W Czechach w 1927 nastąpią różne zaburzenia i nieprzyjemności na tle politycznem. Również ruch komunikacyjny pozostanie pod nieprzyjaznymi wpływami, co ujawni się w zwiększonej ilości wypadków nieszczęśliwych. Organizacja armiji będzie robić postępy. Pozatem rok ten przyniesie Czechom nowe reformy społeczne i powiększy dobrobyt ogólny.

Na Węgrzech nastąpi pokojowy i pomyślny rozwój, uwieńczony gospodarczemi i politycznemi sukcesami. Luty jest miesiącem krytycznym, jak również marzec i koniec maja, pozatem listopad i grudzień.

O Polsce ten proroczy kalendarz nie wspomina.

Dom śmierci.

W jednej z dzielnic Nowego Jorku w Ameryce znajduje się ogromny budynek, przeznaczony na hotel dla trupów. Nad drzwiami wejściowemi znajduje się mała tabliczka z napisem: Pogrzebowy kościół. W hotelu tym przedsiębiorcze towarzystwo wynajmuje pokoje dla nieboszczyków w czasie od ich śmierci do pogrzebu. Pokoje te są urządzone bardzo bogato. Jest tam cały szereg mniejszych i większych pokoików z odpowiedniemi meblami. Pokoje „hotelu“ odznaczają się nadzwyczajnym wykwintem i komfortem. Jest to cały szereg mniejszych i większych saloników, z stylowemi meblami.

Rodzina nieboszczyka ma możność wybrać dla swojego bliskiego zmarłego na chwilowe „mieszkanie“ salon najbardziej przypadający jej do gustu. Po dokonanym wyborze „pomieszkania“ „hotel dla trupów“ posyła swój karawan po „gościa“. Nieboszczyk zostaje zabalsamowany i złożony w wybranym dla niego salonie. Przyczem nie zostaje on włożony do trumny, lecz układają go na kanapce i przykrywają jedwabną kołdrą. Około „śmiertelnego łoża“ nie stawia się świec i gromnic, lecz bukiety świeżych, pięknych kwiatów. Wogóle zarząd hotelu stara się, by jego apartamenty czyniły wygląd jak najbardziej wesoły i w niczem nie przypominały żałoby i smutku. W hotelu tym gościnę uzyskać mogą wszystkie narodowości i wszystkie wyznania. Jedynym warunkiem dla uzyskania „wstępu“ jest opłacenie czynszu, który waha się w zależności od „apartamentu“ od 100 do 500 dolarów na dobę. Przy hotelu znajduje się również krematorjum do palenia zwłok oraz fabryka stalowych trumien. Cena za trumnę dochodzi do 20 tysięcy dolarów. Zarząd hotelu zajmuje się wszelkiemi czynnościami i przygotowaniami pogrzebowemi oraz przesyłaniem nieboszczyków do miejscowości, gdzie się pogrzeb ma odbyć.

Trzy minuty więzienia.

Pewien sąd angielski skazał za drobne przewinienie podatkowe pewnego obywatela na 1 dzień więzienia. W Anglji istnieje jednak zwyczaj, iż czas kary oblicza się od dnia poprzedniego, aż do zamknięcia posiedzenia sądowego. Ponieważ sędzia wydał wyrok na 3 minuty przed zamknięciem posiedzenia, skazany musiał odsiedzieć swą karę przez przeciąg 3 minut, co uczynił bez najmniejszego protestu. Najkrótsza to bodaj kara więzienia, którą kiedykolwiek kto odsiadywał! Wprawdzie krótka to była kara, ale każda kara, choćby najkrótsza jest hańbą dla uczciwego człowieka.

Najstarsze koleje.

Koleje wywodzą swój początek z kopalń alzackich. Już bowiem w roku 1541 budowano tam szyny drewniane, po których chodziły małe wózki. W roku 1738 zrobiono w Anglji pierwsze próby z szynami z żelaza lanego, a w roku 1776 zaopatrzono je w wyżłobienia. Pierwszy większy kompleks szyn ułożono na kontynencie w roku 1806 koło miasteczka Clausthel. Od r. 1828 zaczęto używać szyn z żelaza walcowanego.

Pierwsze próby stworzenia lokomotywy robi już w r. 1804 R. Trevethick. 25 lipca 1814 r. oddał Stephenson, ojciec komunikacji kolejowej, swoją pierwszą lokomotywę do użytku publicznego, 27 września pociągnęła ta lokomotywa pierwszy pociąg między miejscowościami Stockton i Darlington.

Na kontynencie ruszyły pociągi dopiero w trzy lata później, a to najpierw pomiędzy Budweis i Manhausen, potem do St. Etienne. W grudniu 1829 roku uzyskała Ameryka pierwszą linję kolejową do Baltimore.

Pierwszą linję kolejową we właściwym tego słowa znaczeniu stworzono dla użytku publicznego w Anglji we wrześniu 1830 r. między Liverpool a Manchester. W roku 1835 otrzymały linję kolejową Niemcy między Norymbergą a Führt, 1837 — Francja, 1838 — Austrja i Prusy, w kwietniu 1839 r. — Rosja, w październiku 1839 r. Włochy, w roku 1844 Danja, 1847 Szwajcarja, 1848 Hiszpanja, 1850 Kanada i Meksyk, 1851 r. Szwecja, 1853 r. Indje Wschodnie i Norwegja, 1854 Portugalja, Brazylja i Austrja lja, w 1856 Egipt, 1860 r. Turcja, 1869 r. Grecja i Rumunja, 1872 Japonja, 1876 Chiny.

Pościg okrętu przez trupy.

Pewien historyk grecki opisuje następujące zdarzenie: Po niesłychanie potwornej rzezi, dokonanej przez Turków w r. 1822 na pięknej wyspie greckiej Chiosie, wrzucono około 30.000 trupów pomordowanych Greków do cieśniny morskiej między Chios a Czesmą. W miejscu tem stała wówczas flota turecka. Trupy, jak zwykle opuściły się na dno, gdzie też pozostawały przez kilka dni. Lecz oto w pewnej nocy wartownikom tureckim zaczęło się wydawać, jakoby rój ludzi płynął w kierunku floty, otaczając ją coraz bardziej zwartym pierścieniem. Admirał rozkazał wkońcu dać ognia ku tym tajemniczym pływakom, lecz ci zdawali się tem nie przestraszać, gdyż po cichu zbliżali się coraz bardziej. Zaczęło wreszcie świtać i wkrótce zajaśniało słońce. Z przerażeniem spostrzegli wówczas Turcy, że cała flota ich otoczona jest zewsząd trupami, które z prawem natury znów wyplynęły na powierzchnię morza. Okropne widowisko przejęło zgrozą nawet okrutnych barbarzyńców. Każdemu z nich zdawało się, iż rozpoznają wśród trupów zamordowane przez siebie ofiary. Lęk śmiertelny ogarnął admirała. Z nieopisanem pośpiechem podnieśli Turcy kotwicę i oddalili się szybko. Mieli jeden cel uwolnić się od okropnego otoczenia. Lecz przerażenie Turków wzrosło do najwyższego stopnia, gdy się okazało, że w ślad za uciekającymi okrętami ciągnęły w wytworzonych przez nie bruzdach i wirach morskich niezliczone ilości trupów, które sunęły tem szybciej, im prędzej uchodziły okręty. Dopiero po pewnym czasie trupy stopniowo pozostały w tyle. Lecz zemsta spotkała wkrótce oprawców.

W kilka dni później bohaterzy greccy podłożyli ogień pod okręt admiralski, który wyleciał w powietrze wraz z dwudziestoma innemi okrętami. Padający maszt ugodził śmiertelnie admirała, który już był uratował się w szalupie.

Giełda zbożowa.

W ostatnich dniach płacono za 100 kilogramów: Pszenicy 44 do 45 zł, — żyta 31.50 do 32.50 zł, jęczmienia przemiałowego 27 do 27.50 zł, jęczmienia pastewnego 24.75 do 25.25 zł, owsa małopolskiego 25 do 26 zł, hreczki 28.75 do 29.25 zł.

Ziemniaków przemysłowych 5.25 do 5.75 zł, ziemniaków jadalnych 6 zł.

Giełda pieniężna.

Od trzech miesięcy złoty polski ustabilizował się i nie podlega większym wahaniom. Za dolara płacą około **9 złotych**, jednego dnia o grosza mniej, drugiego o grosza więcej. Za 100 franków francuskich trzeba zapłacić 25.30 do 26.60, za 100 koron czeskich 26.60 do 26.72 zł, za 100 lirów włoskich 34 do 34.20 zł i t. d. Różnice w kursach nie zmieniają się prawie a grosz lub dwa na sztuce nie mają wielkiego znaczenia.

Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Pp.: Zofja Jarolimowa w D.: Posyłamy 21. — Fr. Cyran w M.: Wszystkim numera wysyłamy, dziękujemy, artykułu zmienić nie możemy gdyżby stracił charakter artykułu dla ludu wiejskiego. — Panna Kalarus w Ch.: Prosimy o pamięć a obiecankę przyślemy. — Jan Machnica w R.: Posyłamy 21 prosimy o grzeczność omówioną. — Adam Tryba w K. M.: Prenumeratę otrzymaliśmy — reszta pozostaje na przyszły rok. — Wincenty Flis w L. G.: Za pozdrowienia i grzeczności dziękujemy, z nadesłanych adresów skorzystaliśmy; p osimy nadal o pamięć.

Zagadki do nagrody.

Arytmograf.

4 11 17 8 + 14 1 6 4
14 11 23 + 6 19 19
21 13 + 18 3
17 + 1
16 14 + 7 10
20 14 10 + 13 3 19
14 15 22 14 + 14 7 17 11
3 19 13 10 6 + 13 21 19 8 1
6 14 1 14 10 19 + 5 6 14 11 5 19
10 18 15 19 1 + 14 2 20 6 14
6 17 9 8 + 13 3 1 14
5 13 7 + 17 20 12
8 16 + 17 3
17 + 14
23 14 + 18 11
6 17 10 + 18 11 3
15 14 8 6 + 10 23 13 20

Litery oznaczone krzyżykami, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko słynnego malarza polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1) Pisarz czeski. 2) Błazen 3) Planeta. 4) Rzeka w Kongresówce. 5) Muzyk niemiecki. 6) Nazwa Amerykanów. 7) Poseł. 8) Powieściopisarz polski. 9) Obraz Matejki. 10) Nauka o wycofanych monetach. 11) Herb polski. 12) Generał Kościuszki. 13) Bezład. 14) Utwór liryczny. 15) Błękit. 16) Współzawodnictwo. 17) Podróżnik angielski.

Zagadka.

Mam sukienkę kolorową,
Niezbyt piękną, rudo-płową.
Gdy rozebrać mnie z niej chcecie,
W wrzącej wodzie mnie skąpiecie.
Wtedy jestem gładki, biały,
Słodki, smaczny, doskonały!
Lecz mam braci, co goryczy
Nie poskąpią miast słodyczy.
Gospodarna każda córka,
Zwykła mnie brać do mazurka,
A o wielkiej mej wartości,
Świadczy babka wobec gości.

Szarady.

I.

Pierwsze z początku to podczas gorąca.
Drugie, trzecie, czwarte każda wieś mająca,
Drugie i piąte część długu spłacana.
Całość zaś to jest za gazety płaca,
Kto się nie uiści gazetę utraca.

II.

Pierwsze i pół drugiego,
Stanowić będzie z ludzi jednego,
Druga połowa zarazem trzecie
Mają to żydzi wszak wszyscy wiecie,
Jenerał polski całością włada,
Jak bił Moskali zgadnąć wypada.

III.

Pierwsze z czwartem wyzwisko nieładne,
Drugie z trzeciem w Borysławiu mamy.
Całość znowu bardzo dobrze znamy,
Gdyż to u nas ptaki bardzo znane
Przez myśliwych chętnie polowane.

Rebus.



Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania dwie książki.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.